



POEZYE

III

TEGOŻ AUTORA WYSZŁY:

- Ilia.
Allegorya.
Maż poeta.
Poezyc Serya I. Wyd. 4-te rb. 1, w opr. rb. 1'40.
Poezyc » II. » 5-te » 1, » » » 1'40.
Poezyc » IV. » 3-cie » » » » »
Poezyc » V. » 2-gie rb. 1'20, w opr. rb. 1'60.
Poezyc » VI., » » » 1'20, » » » 1'60.
Poezyc » VII., » » » 1'20, » » » 1'60.
Wybór poezyj.
Wybór poezyj (nowy) rb. 1'50, w opr. rb. 2. W wytw. oprawie w półskórek rb. 2'40.
Hasta.
Erotyki, rb. 1'50.
Zawisza Czarny. Wydanie nowe, rb. — 40.
Rewolucya.
Barykada (Poezyc współczesne).
Melancholia. Wydanie 3-cie, odmienne, rb. 1'50.
Wrażenia.
Wybór nowel, rb. 1'20.
Anioł śmierci. Wydanie 5-te rb. 1'50.
Otchłań. Wydanie 3-cie rb. 1, w opr. rb. 1'40.
Panna Mery. Wyd. 2-gie, rb. 1'80.
Zatrącenie. Wydanie 2-gie rb. 1'20.
Król Andrzej. Wyd. nowe, rb. 2.
Gra fal. Wyd. nowe, rb. 1'80.
Z wielkiego domu, kop. 65.
Na Skalnem Podhaju.
Bajeczny świat Tatr, rb. 1'50.
Janosik Nędza Litmanowski, rb. 1'80.
Legenda Tatr, rb. 3.
Romans Panny Opolskiej z panem Główniakiem. Wyd. 2-gie rb. 1'80.
Szkice, rb. 1.
Koniec epopei. 3 tomy rb. 5'20.

W przygotowaniu:

- Otchłań. Wyd. 4-te.
Koniec epopei. Wyd. 2-gie.

V

KAZIMIERZ TETMAJER

POEZYE

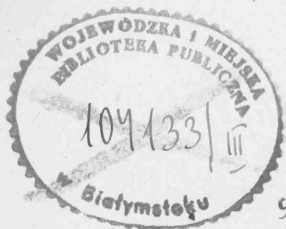
III

WYDANIE CZWARTE



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA == LUBLIN == ŁÓDŹ
KRAKÓW == G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK □ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

8841



821.162.1-1

A

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.
□ □ DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE. □ □

1914

I.

WIERSZY RÓŻNE

III

1

Rzeka mistyczna.

Coraz dalej płyniesz rzeko, rzeko,
brzeg twój coraz pusty i urwisty,
a twe wody płyną coraz bystrzej
i pian męty ciemne z sobą wleką
ku otchłani, gdzie wszystko przepada,
gdzie ostoi się tylko Zagłada.

Ah, te źródła jasne i przejrzyste
pod promiennym, pogodnym błękitem;
te narcyzy z kwieciem srebrnolitem
nad źródłami i lilje śnieżyste
i to złote słońce, co upadło
w pełne kwiatów szklanych wód zwierciadło...

Ah, nie wrócisz ty już rzeko, rzeko...
Coraz dalej płyniesz, coraz dalej...
Źródła twoje zostały w oddali,
brzeg twój kwietny pozostał daleko...
Między martwe stepy i pustynie,
fala twoja głucho, martwo płynie.

A tam czeka ciebie i pochłonie
tajemnicza i straszliwa przepaść,
kędy wszystko, co jest, musi przepaść;
niezglębione, nieprzejrzone tonie,
gdzie niezwrótej podróżnicy drogi,
giną światy całe i ich bogi.

Łąka mistyczna.

O cicha, jasna łąko, o zielona
łąko daleka.
ku tobie dusza smutna i zmęczona
z bagien i piasków posępnych ucieka,
wśród jasnej, cichej zieloności twojej
szukać spoczynku, szukać niepamięci...
O jakaż czystość twych kryształnych zdroi,
o jakże nęci
twoja pogodna złocistość słoneczna;
o jakże koi
twoja cisza wieczna...
O łąko jasna,
jako zagroda wydajesz się własna
tym, co na całej wszechziemskiej przestrzeni
głowy nie mieli gdzie skłonić znużeni.
Letejską zdasz się zbawienną krynicą
dla tych, co w duszy mając żar i płomień,
żądź swych szukali żywych uwidomień,
choć prędzej cienie swoich ciał pochwycają...

Tam — niema więcej czasu i przestrzeni,
tam światłoskrzydłe, przejrzyste i śpiące,
w łodziach, ze ściętych w kryształy promieni,
godziny wiszą w powietrza ogromie,
nie pnąc się więcej za jasnością w słońce,
ani ku nocy chyląc się krawędziom —
zaczarowanym podobne łabędziom —
w promiennych łodziach wiszą nieruchomie...
Tam między polne
ziola i trawy i gaje pachnące
i lilje, srebrnym świecące się puchem,
czyste i białe chodzą dusze wolne,
czujące rozkosz najwyższą: być duchem.

Potok symboliczny.

W skrzęsanych turni rozpadlinie,
w zawrotnej wysokości skalnej,
szumiący, bystry potok płynie
niedosłyszany, niewidzialny.

Ze źródeł pod szczytami ścieka,
gdzie tęcza wiesza świetny nimb,
a szumu jego tam zdaleka,
samotnych słucho garstka limb.

Jak poświst wiatru w chmur pomroczy,
tam, z dołu, z ziemi, niesłyszany:
on szumi — i wód fale toczy
między skrzęsane, ciemne ściany.

W koło jest pustka tak ponura,
takiego chłodu wieje prąd:
że nawet orły strzępią pióra
i odlatują szybko ztąd.

I tylko potok sam, samotny,
potok potężny, srebrnopiany,
szumi w wyżynie tej zawrotnej
pomiędzy ciemne płynąc ściany.

Szumi i pędzi — i z urwiska
przez głaz, co góry z sobą skuł,
w otchłån się czarną srebrny ciska
i leci bez pamięci w dół.

Fala za falą rwie się, pieni —
potok samotny, tryumfalny,
płynie wśród ciemnych cisz i cieni,
niedosłyszany, niewidzialny.

Haha! Jak krążą ponad szczyty
kłęby obłoków z wichrem w tan!
Mgieł tuman w lot się porwał, wzbity
zamachem wichru z skalnych ścian!

Haha! Jak kłębią się i płaczą,
jak się miotają z sobą, wznoszą,
w dół opadają — i znów ręczo
nad wierchów suną się pustoszą...

Haha! Jak gwiżdże wiatr i huczy,
jak huczą złomy stromych ścian —

zda się, że Szatan tu się włóczy
i w róg uderza, pustyń Pan...

A w głębi cicho, ciemno, mroźno —
w zawrotnej skalnej rozpadlinie,
w straszliwej ciszy pustką groźną
szumiący, bystry potok płynie.

Niedosłyszany, niewidzialny,
z kąd wstaje tęczy świetny nimb
płynie, a jego tryumfalny
szum słyszy garść samotnych limb.

Płynie i fale z góry ciska
w bezdenną otchłån, w zwał granitów,
i szum szeroki tam, z urwiska,
rzuca w dół z falą z chmur i szczytów.

Wieczór majowy.

Za ciche wzgórza słońce się zanurza
jaskrawe w mrocznej głębinie;
z ciemniejącej ściany skał, powiew różany
odblasku spływa i ginie.

W toni przezroczej srebrnomodre oczy
otwiera wieczór majowy
i w mgieł aureoli opada powoli
na lasy, łąny, dąbrowy.

Wyciąga ręce i ściera rumieńce
ostatnie z niebios rubieży,
a gdy w mroku zbledną, senną gwiazdę jedną,
jak lampę zapala w wieży.

Z za gór uboczy srebrny księżyc toczy
w otęczy światła przymglonej —
i światła mgławicą chmury wskrós się sycą
i mgieł powiewne opony.

W górskiej dolinie pomroczą owinie
bór stary, odwiecznogłosy:
na liściu paproci światelko rozżłoci
pod księżyc upadłej rosy.

Spływa ku łąkom i szepcącym dzwonkom
stula listeczki wilgotne;
na zboczu urwistem wichrowym poświstem
kołysze jodły samotne.

Błędne ogniki rzuca na trawniki
i na posepne bagniska
i z ponad miesiąca błędne gwiazdy strąca
i kędyś w otchłań je ciska.

Głowę swą kłoni na skrzydła tych woni
co z kwiatów cicho się wznoszą,
i z wonnym powiewem zawisa nad krzewem
słowików słuchać z rozkoszą.

W ponure groty rzuca promień złoty
księżycy przez gąszcz i liście,
i pieśni słowicze w głąsze tajemnicze
wsącza i brzmi w nich srebrzyście.

Gdy w ciemnej fali niebiosów zapali
gwiazd niezliczone kagańce,

co świecą, jak łodzie na niezmiernej wodzie
na świata płynące krańce:

wówczas na sady, chaty i lewady,
na wody, kwiaty i drzewa,
w mgławic aureoli opada powoli
i zwolna z nocą się zlewa.

Pierwotna przyroda.

Cóż jest prócz ciebie, przyrodo pierwotna,
godnego duszy, co pęta zdruzgoce
i krwi ofiarą dusza wzmógłszy moce,
staje się górna, dumna i samotna?

Tam, w nieskończoność idzie ona przez twą
wieczność i pełnię; tobą się oczyszcza
i depcąc nędzne ziemskich złud bożyszczka,
przeczuwa Boga olbrzymie królestwo.

Tyś jako potok letejski jest dla niej,
kędy swe skrzydła wniebowstępane pławi,
kiedy je życie zbrudzi, lub okrwawi,
i chce ją strącić z pod gwiazd do otchłani.

W tobie jest wszystko i ten ład jest wieczny,
co duszę ranną, rozbolałą, krwawą
ucisza, mówiąc: we mnie moc i prawo,
pierwsza przyczyna i cel ostateczny.

Mojzesz.

Posnęli... Otom lud ten wywiódł z mocy wrogów,
z domu niewoli i z pęt, w których męże jęczą,
a niewiasty usiadłszy przy żarnach u progów,
stopy swe okuwają gorzkich łez obręczą.

Wybudowałem w drodze piramidy trudu,
a jak powódź nilowa namula równiny,
ja namulałem cnotą łan serc tego ludu,
i jako kłosa pełne w polu: są me czyny.

Nie bawiłem się kiedy wsiami albo miastą,
anim w winnicy grony poił się winnemi,
albo rękoma dotknął słodkich biodr niewiasty
i czuł drżące jej ciało pod piersiami memi.

Alem wywiódł i wiodę, choć wiem, że nie wnijdę,
idąc przodem, jako dziób prujący okrętu,
albo ostrz stalny, wbity na drewnianą dzidę,
lub cap, pierwszy skaczący z skalnego zakrętu.

I nigdym się nie skarżył, anim czego żądał,
i byłem jako wielbłąd, okręt napustynny,
a Tyś był jako jeździec i drogiś oglądał,
a jam szedł w uździenicy Twej mocy powinnej.

Anim kiedy wstręt czynił Twemu rozkazaniu,
albo był dla twej ręki żwirem w mące pszennej;
alem był, jako żagiel wichrów Twoich wianiu,
i dla oblicza Twego, jak kryształ studzienny.

A przecześ mi jest dzisiaj, jako Sfinks milczący,
przecześ mi jest, jak orzeł — któż zna jego
[drogę?

i jako delfin, wodę w głębi mórz prujący,
i czemuż Cię dziś widzieć i przeznac nie mogę?...

Orzeł morski.

W cuchnącej menażeryi, w niewielkiej drucia-
[nej]
klatce, na małym złomie bazaltowej skały,
siedzi, odąwszy piersi, smutny, osepiał
orzeł morski; tuż obok żółwie i pawiany.

Pokrwawionego kędyś w stepach go ujęto,
gdy mu kula złamała skrzydło pod obłokiem;
lata już całe bawi ludzi swym widokiem,
patrzac w pół ciemne okno żrenicą przymkniętą.

Bezduśne i bezmyślne gapią się nań tłumy,
gniewa je nieruchomość, obumarłość ptaka,
potrącają go, klatkę próbują zdjąć z haka,
ale niczem niemogą wyrwać go z zadumy.

W ciasnem, dusznem więzieniu dumny ptak
[królewski]
lat dziesiątki już ginie w męczarniach powoli;

za widok jego płacą, jego ból nie boli,
więc ginie między druty zamknięty i deski.

A tam — szeroka pusta niebiosów opona,
asny, wielki krąg słońca daleko, daleko...
hen, w dole, chmur srebrzyste tumany się wleką
i płaszczyna wód morskich, ciemna, nieskoń-
[czona...

Tam — wysp zielone smugi i okrętów białe
migocące się ławy i bory olbrzymie;
wulkany, grzmot w czerwonym ciskającym dymie,
i śnieg, srebrzący szarą górskich wierchów
[skałę.

I cicho... Tylko w głuszy słychać gdzieś da-
[lekiej]
gwiazd toczących się w bezdni grzmiące ko-
[łowroty,
z hukiem śmiga i pęka gdzieś meteor złoty — —
cicho... tu gwarną falą nie suną się wieki...

Oto noc. Siadłszy kędyś na podniebnej skale,
osrebrzony światłością księżycą, powoli
olbrzymi ptak zasypia w światła aureoli,
w majestacie potęgi i królewskiej chwale.



Śni mu się jego straszna moc i lot zuchwały,
snią mu się łowy, walki, burze, oceany...
Cóż ci się tu śni, orle, w tej klatce drucianej?
I tu ci dano kawał bazaltowej skały!...

Rusałki.

Od pól rusałki lecą
we mgłach i wód oparach,
ogniki łapią błędne
po bagnach i moczarach.

Nad gajem wiklinowym
taneczny wiją krąg,
a wiatr po łąkach szemrze,
a kwiaty pachną z łąk.

Od pól rusałki lecą
miesięczną, cichą nocą
i łąki rosą srebrzą,
i gaje rosą złocą.

* * *

Od pól rusałki lecą
w perłowych mgieł pomroczy,
a dziecko na nie patrzy,
otwiera wielkie oczy.

Zdumione patrzy cicho
na ich taneczny krąg,
a wiatr po łąkach szemrze,
a kwiaty pachną z łąk.

Od pól rusalki lecą
miesięczną cichą nocą
i łąki rosą srebrzą
i duszę dziecka złocą.

* * *

Od pól rusalki lecą,
splatają w locie wieńce —
skrzydlaty ku nim chłopiec
wyciąga w górę ręce.

I dusza mu się do nich,
skrzydlata dusza rwie,
a one załsniają w blasku,
w perłowej giną mgle.

Od pól rusalki lecą,
nad chłopca zwisną głową,
białe doń ciała zbliżą —
i lecą w mgłę perłową...

* * *

Od pól rusalki lecą,
we mgłach i wód oparach,
ogniki łapią błędne
po bagnach i moczarach.

Ujrzały duszę cichą
i nieskrzydlatą już —
złamane, krwawe skrzydła
upadły w proch i w kurz...

Od pól rusalki lecą
w miesięcznych blasków fali,
ujrzały krwawe skrzydła —
i tańcząc lecą dalej.

Ogród Lezbijski.

Noc księżycowa. Ogród pełen cienia,
gmach na kolumnach wykutych w marmurze,
światła szafiry, topazy i róże,
alabastrowe sale i przedsienia,
kwiaty w wazonach rżniętych w ametyście,
kielichy z piany, ze szmaragdu liście,

Wśród światła, kwiatów, wśród kolumn szeregu
stoją posągi. Podstawy z marmuru
srebrniejącego mają blask lazuru.
Na ścian gładzonych kryształowym śniegu
zwierciadła w jaspis oprawne je dwoją —
rzędem wśród kolumn nieruchome stoją.

I tylko zda się, że ich oczy żyją
i patrzą ciche, a pełne płomieni;
i tylko zda się, że się im rumieni
piers i faluje pod wysmukłą szyją.

Rzędem wśród kolumn stoją nagie, czyste —
o Afrodyte! o bóstwo świetliste!...

O Safo! Twoją ten ogród świątnicą!
Patrz! jakie cudne a potworne sploty!
Patrz! Marmurowy twój posąg z pod grotty
laurowej wielką spogląda żrenicą,
a na twej harfy złostrunnej struny
biją od światła płomienie i łuny.

Kamiennym palcem uderz w harfę złotą:
niech zabrzmie pieśń... miłości pieśń... A owe
ockną się białe bóstwa marmurowe

i żywym z sobą uściskiem się splecą...
Promienne bóstwa rozkoszy, zakłętę
w głaz, nieruchome, cudowne i święte.

O zejdź z marmurów twego postumentu
Afrodis biała! zrzuć zazdrosne szaty!
Na bujną trawę między wonne kwiaty
zejdź safickiemu przypatrzeć się świętu —
Eros skrzydlaty, stanąwszy w podziwieniu,
zdumioną strzałę wstrzyma na cięciwie...

Zbudź się łabędziu! podnieś skrzydła śnieżne,
splot ramion poczuj, co jak miękkie fale
objęły ciebie; te dłonie, co w szale
na barkach twoich zawisły lubieżne,
niechaj ci gładzą pióra; ta pierś biała
pod twoją piersią niech drży, dyszy, pała...

• Noc księżycowa. Zdala szumi morze
swoją pieśń cichą, wieczną i olbrzymią,
kratery ogniem błyskają i dymią,
woń róż, jak obłok, zawisa w przestworze
i palm kopuły ciemne się kołyszą — —
cyt — jaką wszystko przepojone ciszą...

O sonecie.

Lubię sonetu trudną, misterną budowę:
zda mi się, że mi kawał marmuru odkuto,
w którym swobodnie rzeźbić może moje dłuto
w rozmiarach wiecznie jednych kształty coraz
[nowe.

Lubię te dźwięki pełne, szerokie, brązowe,
brzmiące wiecznie tą samą melodyjną nutą,
a w nieskończoną różność motywów rozsnutą,
jak mgły na jednym niebie w przeróżną po-
[snowę.

Lubię ten mały kościół, w którym jednak może
olbrzymi Bóg się zmieścić, jak w potężnym
[tumie;
lubię to górne, wązkie, naskalne wydroże,

z kądem runie, kto stóp pewnie położyć nie umie;
lubię tę gwiazdę małą, co świeci, jak zorze,
dźwięk dzwonu, co nie głuźnie w huraganów
[szumie.

Wędrowcy.

Przez ogród idą pełen cudnych kwiatów,
na piersi twarze zadumane kłonią,
nie upajają się czarowną wonią,
ani wieńcami stroją się szkarłatów.

Pojmują rozkosz barw i aromatów,
nęci ich ona, lecz nie sięgną po nią;
chwyatają ciernie pokrwawioną dłonią
i liczą ślady bolesnych stygmatów.

Aż przed bramami stanąwszy ogrodu,
rzekną: »Otośmy, zaufani w Słowie,
drogę żywota przecierpieli całą,

wściekłego naszych żądz nie sycąc głodu —
otocz nas nagród obiecanych chwałą
Panie!...« Lecz jeśli nikt im nie odpowie?...

Szukają bóstwa...

Szukają bóstwa: jedni z nich w popiele
nurzając głowy i ścieląc się w kurzu
przy marmurowych posągów podnózu,
albo w posępnym, milczącym kościele;

inni ku niebu skroń podnosząc śmieie,
w słońc życiodawczych promienistym rózu,
w gór, oceanom ochronnem przedmurzu,
w mądrem i dobrem wszechstworzenia dziele;

inni spokojni, cisi, zadumani,
w nieogarnionej szukają go głuszy,
w nieskończoności bezdennej otchłani — —

tak od początku swojego istnienia
wszędzie szukają bóstwa bez wytchnienia,
tylko go w własnej nie szukają duszy.

Wszechmocny Bóg.

Wkoło mej głowy światy. Sam z siebie je
[tworzę
i sam w sobie je niszczę. Nieskończoność,
[wieczność
stworzyłem. Rozkazałem — i wstała konie-
[czność
by okuć wszechistnienie w wieczystą obrozę.

Zechcę i drzwi nicości istnieniu otworzę;
drżą światy, mojej woli widząc obosieczność
i czując dwóch idei nieustanną sprzeczność,
z których żadna dotychczas zwyciężyć nie
[może.

Lecz gdy zechcę, zwycięży ta, co niepojęta
od wieków trwoży światy: idea niebytu,
i tylko sam zostanę, moc nieogarnięta.

Blade cienie, posępne, nikłe mary mytu,
kupią się niezliczoną chmurą pod me nogi:
depcę je w mej olbrzymiej chwale — to są
[bogi.

Próżno w swej duszy...

Próżno w swej duszy przepastne otchłanie
rzucasz źrenicę, jak olów: nie spadnie
głębiej, niż może, i zawsze coś na dnie
niedojrzanego dla niej pozostanie.

Choćby poznała nawet rusztowanie,
na którym cegła twych myśli się kładnie
by wznieść gmach czynów życia; choć odgadnie
nawet fundament, na którym gmach stanie:

to w tajemnicy pozostanie wiecznej
szczyt wieży gmachu i kamień węgielny,
bo, aby zbadać duszy swej głębinę,

musiałbyś poznać skutek ostateczny
i znać najpierwszą wszechistnień przyczynę,
a tych nie dojrzy nigdy wzrok śmiertelny.

Zbrodnie.

Na rozhukanych koniach, wśród zamieci,
w wirze kurzawy kłębow, chrzęstu, łomu,
wśród huraganów ryku, grzmotów, gromu:
orszak fatalnych amazonek leci.

Lecą przez łąny i stepy stuleci,
przez pieśni zwycięstw, przez jęki pogromu,
pośród wrzaw pychy, pośród milczeń sromu,
przez wały złomisk, przez ogrody kwieci...

Lecą w purpurach i szmatach u ramion,
trzymając w rękach lilje i pochodnie,
krwią, łzami, błotem szlak ich dróg poplamion.

Jedne urocze, jak hurysy wschodnie,
inne, jak furye, pełne wstrętnych znamion:
na rozhukanych koniach lecą Zbrodnie.

Motyl.

Wyżej! Kędy wiatr gwizdże i po turniach
[dzwoni,
tam, kędy obłok oparł o głaz białe stopy
i złotych blasków słońca wzięwszy na grzbiet
[snopy
ku błękitnym niebiosom wzniosł purpurę
[skroni!

Wyżej! Gdzie krzywoszpony ryś w chytrej
[pogoni
ściga dzikich kóz szereg błyskawicostopy;
gdzie się z urwisk śniegowe zsypują roztopy
z hukiem na żółkłe trawy o uwiedłej woni...

Wyżej!...[■]Szczyt —[■]powódź wierchów... Jak pu-
[sto... W zawrotnej
wyżynie coś się bieli u skalnej krawędzi —
ha! motyl, biały motyl, wiatr go tutaj pędzi...

Pod nim ciemna toń stawu... leci ku głębinie,
zmęczył się, spada niżej, niżej — ha! już ginie —
samotny wbiegł pod słońce i zginął samotny.

H a l a.

Cudna, złota jutrzienko wśród mroków granitu!
Senna zatoka pośród zpiętrzonych fal cieśni!
Jasny kwiecie wśród lasu; cicha, słodka pieśni
wśród szumu trąb grzmiącego pod sklepy
[błękitu...

O halo górską! Oczy omdlały z zachwytu —
twój widok roześpiewi duszę i roześni
i marzyć na twem łonie zielonem bezkresniej,
niż tam — na czole skalnej piramidy szczytu.

Tu oczy obróciwszy ku złotemu słońcu
i ku białym obłokom na błękitnym niebie,
można świata zapomnieć i zapomnieć siebie —

utopić duszę całą w wód i lasów szumie
i w tej upajającej, bezkresnej zadumie
chcieć śnić do życia końca i po życia końcu...

Z przełęczy „Mechy“.

Dwa meteory blasku spadły w ciemność mgławic
i zawisły w przestrzeni olbrzymie i złote,
rzucając promienistą dokoła pozłotę
i ponsowo-płomienne kaskady błyskawic.

Pod nimi, z między szarych granitowych ławic,
wulkan, zda się podziemną rozsadzwszy grootę,
roztrysnął huragany ognia w mgieł ciemnotę,
jak granat pośród wichru płomiennych trza-
[kawic.

Zwolna wszystkie się światła zwały w jedno
[słońce
olbrzymie i jaskrawe na mgieł ciemnem morzu,
coraz niżej w dolinę śródskalną płynące —

aż upadło w kamienne gdzieś złomy daleko
i po szerokiem, krętym górskiej wody łożu
płynie ogromną, złoto-purpurową rzeką.

Pod Rysami.

Ciemno. W powietrzu wilgoć. W Rysach po-
[tok huczy,
staw uderza o brzegi, bulkota i pluszcze;
wiatr błądzi przez nadwodne, puste, głuche
[puszcze
i gwiżdżąc po upłazach i turniach się włóczy.

W ciemni blask czasem załśni metaliczny, kru-
[czy
na wodzie, którą lekki wiatr marszczy i musz-
[cze;
zaczernią się na brzegu kosodrzewu kuszcze,
lub skała się w cień bladej, posępny oblóczy.

Ciemno — — wtem gdzieś w przepastnej nie-
[przejrzanej dali
zabłysło — — czy to spadła na brzegi odmetu
gwiazda o promienistym blasku dyamentu?

Iuż błysła druga, trzecia, już dziesięć się
rzekłbyś, że się gwiazdami [pali — —
podnóże gór
a księżyc wyszedł mgławo [złoci — —
w powietrznej
[wilgoci.

W Kościeliskach w nocy.

I.

Cisza. Noc. Na zaćmioną dolinę Kościelisk
idą z gór lasem zrosłych, z upłazów i jarów
tajemnicze milczenia w mgławicach oparów
wznoszących się po cichu z wodnych oparzelisk.

Głucho warczą strumienie po głazach swych
[ścielisk,
las śpi. Na nieruchomą, czarną toń konarów
padł, wschodząc przez wyrwany wśród wa-
[pieni parów,
miesięcznego przedświatła srebrzysty obelisk.

Fosforyczną białością powlekły się ściany
nagich, skrzęsanych turni; wielka cieniu rzeka
ogarnie je i niesie w mroku oceanu.

Wszedł księżyc: na wierzchołku zaczepił się
[smreka,
rozdarł się na olbrzymich dwóch gwiazd błę-
[skawice
i kiście świetlnych kalców wbił w nieba ciem-
[nicę.

II.

Jaka cisza! Jak dziwnie wyglądają drzewa — —
jaki dziwny szum wody — — coś, co niepokoi,
snuje się po dolinie, wśród gęstwin się roi — —
lęk ciche mgły swych skrzydeł w powietrzu
[rozwiewa...

Jakie dziwne niewidny księżyc światło zlewa — —
jaki dziwny, posępny, wielki cień tam stoi — —
zda się, widmo u grotty głębokich podwoi — —
jak dziwnych głosów echo z kądś wśród gór
[pobrzmiewa...

Zda się, że coś zawodzi, skowyczy i płacze —
cicho!... jaki dreszcz szybko przemknął się
[gęstwiną —
gdzieś w lesie zajęczały ponuro puhacze...

tu — mogiła pod stosem chrustu i smreczyną —
zwierzę jakieś ze stosu w ciemną gęstwę ska-
[cze — —
jaki dziwny czar idzie Kościelisk doliną...

Z Kasprowskiego Wierchu.

Bronzowo-złotym liściem błyszczą się skorusze
głęboko w zagęstwionej Wierchcichej dolinie;
wkoło gładkich uboczy olbrzymie pustynie,
okryte przez poźółkło-złotej trawy plusze.

Wiatr. Huczą zamgławione nad wierchami
[głusze,
słońce ma blask ołowiu — — wtem z południa
[płynie
biały, podarty obłok — rozwiął w chmur głębynie
ośniewających blasków pełne pióropusze.

W śnieżno-modro-ognistych barw fosfor się
[mieni,
pali się na powietrzu i jak szmat płomieni
wznosi się i zawisa wśród otchłani mglistej.

A od północy błękit kryształno-przejrzysty,
cud błękitu! w mgieł wpłynął sine fiolety
i objął w blask dalekich gór złociste grzbiety.

Dzwony św. Piotra w Rzymie.

Za każdym grzmotem dzwonów zda się że
[wylata
z kopuły huf aniołów w cztery strony świata,
a każdy, z wichrem włosów, w swej ręce ol-
[brzyma
miec płomienny, w żenicach sto błyskawic
[trzyma,
i lecą... Ziemia gnie się... Nad miasty i sioły
zawisają spiżową chmurą te anioły
i zda się, swoją straszną i ogromną mocą
słońce strąca gdzieś w przepaść i niebo zdruz-
[gocą!

W kaplicy Sykstyńskiej.

Ta ściana cała ryczy, jak bawół zraniony!
Ten Chrystus tam, jak piorun, z cyklopa ra-
[miony
ta trupia głowa pełna boleści i jęku,
ten szturm kłatew, rozpaczy, wściekłości i lęku,
farba zmieniona w kamień, pędzel w dłuto, siła,
co zda się góry pięścią na miał-by kruszyła!
Żrenice głuche patrzą z pod skostniałych po-
[wiek — —
wulkan to chyba z siebie wyrzucił, nie człowiek.

Słońce.

Słońce! słońce! słońce! słońce!
Wszystko lśni się, świeci, pała,
złote iskry skaczą z morza,
złotem błyska mewa biała.

Złote smugi drżą po wodzie
aż po Capri, po Sorrento —
na słoneczny wiatr okrętów
białe żagle rozwinięto.

Na roztoczach morskich głębi,
na szmaragdach i błękitach,
fioletu ciemne plamy
w rozłożonych lśnią prześwitach.

Wzgórz majaczą gięte łuki
przez przezroczą mgłę błękitną —
na ich stokach białe miasta,
jak kamelij ogród kwitną.

A tam w dali przezroczyście
jak jezioro lśni się morze —
srebrno-białej gładkiej tafli
jeden wiatru smug nie porze.

Jaki spokój tam i cisza — —
zda się z głębi, od Sorrenta,
wyjdzie cicho z morza Wenus
naga, piękna, uśmiechnięta.

Wyjdzie cicho i z warkoczy
strząśnie wody krople lśniące —
świat się pławi w złotym blasku —
słońce! słońce! słońce! słońce!

Capri.

Zbiegłem do stóp skalistej wysepce — —
była cicha godzina poranna,
woda jasna szafirowo-szklanna,
cicho dzwoni u brzegów i szepce.

Jeszcze, zda się, kołyszają się wianki
róż kwitnących w tej wodzie przezroczej,
które tutaj zrzuciły z warkoczy
przed wiekami cesarów kochanki.

Jeszcze, zda się, pierzchnąć nie zdołało
ich odbicie z kryształowej wody,
gdy się, chciwie swej własnej urody,
morzu piersią uśmiechały białą.

Jeszcze, zda się, w tej krainie cesarów,
nad tą wodą szafirowo-szklanną,
w taką cichą godzinę poranną
słyszać oddech kochanek cesarów.

Na Capri.

Z dwu stron wysepki szafir mórz
błyszczą się pianą;
różowe biegną stopy skał
w toń zwierciadlaną.

Na krzesanicy skalnej śpi
cień ciemno-siny;
wysoko w górze piętrzą się
jasne ruiny.

Ogromny, świetny słońca krąg
świeci w błękicie;
naokół pusto, pusto tak,
jak bywa życie.

W Zatoce Neapolitańskiej.

Srebrno-modra, jak metal błyszcząca,
nieskończonych wód powierzchnia leży;
słońce wsparło się o wodę blaskiem
i zasnęło w błękitnej bezbrzeży.

Jaka dziwna, jaka dziwna cisza,
jaki dziwny spokój w tej naturze...
Wszystko tonie: woda, ziemia, niebo,
w przezroczystym, świetlistym lazurze.

W jeden lazur świat się zmienia cały,
cisza ziemi z senną nieba głuszą;
w jeden lazur świat zmieniony zda się
być swą własną zadumaną duszą.

Pod Portici.

Szmaragdowe tafle szklanne,
monotonne, nieustanne,
w srebrną piętrzą się fontannę
bijąc w brzeg,
i rzucają dyamenty
promieniste na odmęty
i w promienne wiją skręty
kropel śnieg.

Wielki okręt port opływa,
fala modra, srebrnogrzywa
idzie cicha i leniwa
za nim w ślad;
a gdy wiatr ją silniej trąca,
z głębin zrywa się do słońca
na kształt białych bielejąca
ptasich stad.

Pod Herkulaneum.

Od morza idą wielkie fale,
idą leniwo i omdlale,
niebieska woda u wybrzeża
w tuman się spiętrza i rozśnieża
i z szumem kaskadami ciska
na szarych ruin rumowiska.

Różowiąc żagiel chwiejnej łodzi
w cień wysp i wzgórzy słońce schodzi,
na gór połogie senne grzbiety
złotawe mgłą się fiolety,
a z nad zielonych Winnic w górę
wulkan wyrzuca dymu chmurę.

Nad Sant' Angelo mgieł korona
w nieba niezmierny błękit wsiąka,
nad skał rozdartych siwe pręgi
białych obłoków wiszą wstęgi
i w dole, ledwo widne oku,
bieleją domy na gór stoku.

A wokoło ruin dawnych zwały,
mur zdruzgotany i zczerniały,
olbrzymie czarne głązy w wodzie,
lawy i pustka... Na zachodzie
słońce, co się powoli zniża,
zabłysło w chmurach na kształt krzyża.

Cichy, ogromny grób. Tam w głębi
życia się wieczny splot nie kłębi —
jak niegdyś lawa je zalała,
od wieków leżą martwe ciała,
których ztąd nigdy nikt nie ruszy —
strach w głąb tę schodzić ludzkiej duszy.

I serce bije jakąś trwogą,
gdy brzeg od fali drży pod nogą,
bo tam za każdym morza wbiegiem
drży może szkielet pod tym brzegiem
i w tej ponurej, stęgłej ziemi
w takt się porusza wraz z żywymi.

Cicho tu. Widma ciszy senne
zająły pustki te kamienne;
siedzą wśród ciemnych cieni rumu
i fal słuchają morskich szumu
i wychylają ptasie twarze
patrząc, kto idzie przez cmentarze?...

Może się trwożą ludzkim śmiechem,
weselem oczu i z pośpiechem
kryją się w jamy, które drąży
woda, nim wzrok je ujrzeć zdąży,
a potem patrzą z skał parowu
skulone, czy jest cicho znowu?

I jak jaszczurki z swych komyszy,
wychodzą blade widma ciszy
i rozglądawszy się, znów w cieniach
ruin siadają na kamieniach
i patrzą w głuche, ciemne morze...
Ludzkie je szczęście trwoży może...

Apollo.

Gdzie świat mój dawny? Gdzie Muzy moje?
Gdzie Nimfy i Najady?
Przez martwe gaje, nad martwe zdroje
nocami błędę blady — —
moc, co budziła miłość i trwogę,
fatum mi z rąk wydarło,
a bezsilnemu zagradza drogę
w krainę iść umarłą.

Szczęśliwe bogi, co moc straciwszy
przybrały cieniów postać — —
lecz ja, ze wszystkich najniezszczęśliwszy,
musałem tutaj zostać — —
i wspominając mą lutnię złotą
i łuku mego celność,
ze znicestwienia prózną tęsknotą
przeklinam nieśmiertelność.

Danae Tycyana.

Na miękkim puchu białego posłania
promienna cała od słońca pozłoty,
Danae, Zeusa spragniona pieśczoły,
z osłon swe ciało dziewicze odsłania.

Z niebios się ku niej świetlny obłok siania
i nagle deszcz zeń na nią spada złoty:
to bóg, miłosnej czując żar tęsknoty,
zwiśł nad cichego pełną pożądania.

Nagie jej ciało widzi i błękitu
jej wielkich cudnych źrenic blask przymglony,
senny, wśród boskiej rozkoszy zachwytu.

Przed złotym deszczem, od słonecznej strony,
u stóp jej białych, podobny do świtu
gdy dnieje: Amor uchodzi spłoniony.

Virgini intactae.

Ust twych więc usta nie tknęły niczyje?
Nikt nie uściskał twojej drżącej ręki?
Nikt się nie oplótł w twoich włosów pęki,
ani się wessał w twoją białą szyję?

Nikt się nie wsłuchał, jak tve serce bije,
jak omdlewają słów błękitne dźwięki,
a ciała twego kształt smukły i miękki
zdrój tylko widział i wodne lilje?

I nigdy dumne to królewskie ciało
w niczyich ramion uścisku nie drżało?
pragnienie twoje jest jak blask o wschodzie?

Nigdy w twych oczu słonecznym ogrodzie
nie trysła rozkosz kwiatami złotemi?
Pójdź! Tyś jest szczęściem najwyższem na
[ziemi!

Dyskობոլ.

Tłum widzów. On spokojnym wzrokiem metę
[mierzy — —
wyprostował się, ramion wiązanie natężył,
głowę wznosił, stopy w ziemię wrył, nogi na-
[prężył,
w ręce trzyma dysk krągły — — wstał pierw-
[szy z szermierzy.

Jeszcze chwila — kołysz dyski, zanim uderzy —
wysunął lewe ramię, biodra, zda się, zwięźlił,
na prawej nodze całym ciężarem zaciężył —
rzuci — i laur zdobędzie znów na skronie świeży.

Na jego marmurowe, nagie, smukłe ciało,
oliwą namaszczone, złotawe, błyszczące:
pada greckie, promienne, uśmiechnięte słońce.

Przygiął się — dysk w stalowych palców ści-
[snął kleszcze — —
kobietom w białych piersiach serce bić prze-
[stało,
a boskie uda słodkie wstrząsają im dreszcze.

Kallipigos.

Etruską wazę tknięciem czulej ręki
pieszcząc, lub w greckiej malowanej czary
wpatrzony najad i oread wdzięki,
nie czuł rozkoszy tej patrycyusz stary:

jaką uczuwa, kto z obsłony cieńkiej
odkrywszy światłu ciała twego czary
i dłonią pieszcząc kształt pełny i miękki,
wzrok poi olśnień boskiemi nektary.

Temu, co rzeźbił Wenus Pięknotylą,
twoje się ciało przed wiekami śniło,
a nigdy przez liść bładę róży białej

półton karminu nie przeświecał piękniej,
ni się czarowniej kiedy uśmiechały
dwa śnieżne wzgórci słońcu... Patrz — i kłęknij.

W Arkadyi.

Wielkie słońce. Zielony bluszcz i winograpy
plotą po ciemnych skałach pachnące namioty
i powoje liljowe pną się koło grotty,
zład biją szafirowe i srebrne kaskady.

Oliwny gaj, jasnemi sperlony owady,
od motylów tęczowy: w gazie blasku złotej
drzemie cicho, a w liściach radosne szczebioty
słychać skrytej przed słońcem radosnej gro-
[mady.

Ku sadzawce się modrej bujna ściele trawa
połyskująca w słońcu, zielono-złotawa,
a wśród niej kwitną białe i czerwone kwiaty.

Cicho... srebrne milczenie słonecznej pogody...
Wśród trawy się kołysze grzbiet fauna kosmaty
i na nim spłot namiętny ramion dziewczki młodej.

Wizya lipcowa.

Błękitnych jezior oddalone fale,
na falach słońce łagodne i senne,
zielone gaje, brzozy srebrnopienne,
bladych róż wieńce i maków korale.

Po łące, w szklanym powietrzu kryształe,
powiewne, zda się od słońca promienne,
ludzkim podobne kształtom, lecz odmienne:
nagie postacie błędzą półomdlale.

Niezmierny spokój — — nad jeziora głębie
błękitne, ciche, srebrzy się pierś biała
pod jasne słońce leżącej rybitwy;

nad gajem krążą złociste gołębie,
a owe kształty pół z światła, pół z ciała,
zdają się tonąć w zamyśleń modlitwy.

Ekstaza.

Nie widzę, słucham cię oczyma, biała!
Nagości twojej linie i kolory
w hymn mi się jeden łączą różnowzory,
w muzykę kształtu, w pieśń twojego ciała...

Melodyą jesteś i harmonią cała!
Rzucona kędyś w dalekie przestwory,
jako przelotne świecisz meteory — —
pieśń twej piękności promienieje, pała...

Komu się zjawisz taka, pójdzie dalej
z twarzą od świata odwróconą, senną —
tak ci rzeźbiarze, co Wenus promienną

niegdyś w paryjskim marmurze kowali,
chodzili cisi, senni między ludem —
oni widzieli cud i żyli cudem...

Posąg Hermesa.

Rzeźbiarz Hermesa posąg wykuł marmurowy,
w dłoń dał mu opleciony węzem posoch biały,
zaś do stóp mu przywiązał skrzydlate sandały
i dał mu uśmiech boski. W alei mirtowej

postawiono go na tle grotty porfirowej,
z kąd się róże i laury ku niemu zwieszały;
i bóg, Argos pogromca, pełen świętej chwały,
zdał się śnić pod różami i laurem u głowy.

A co noc się mirtowe gałęzie rozchyła
z lekkim, cichym szelestem i pomiędzy róże
przegląda twarz — Olimpu bogom ukradziona...

Z pośród gęstwiny stopą wybiega motyla
dziewczyna — i objąwszy pierś boga w ramiona,
wrzące pragnienie gasi na zimnym marmurze.

Świątynie w Pestum.

I.

Przez gaj nadbrzeżny morze, jak sadzawka
[w siole
niewielka i spokojna, świeci smugą wazką,
igrając ze zwieszoną ku wodzie gałązką
i osrebrzając tęczą szmaragdu półkole.

Smutne eukaliptusy stoją i topole,
ówdzie się białe lilje błyszczą kwiatów wiązką;
przez pustynię moczarów zapadła i grząską
idzie powoli stado półdzikie bawole.

Dzień był cichy, jak słońce. W powietrznej prze-
[strzeni
drzemały modre wzgórze; o nieba lazury
i o morze, co blaskiem kolorów się mieni:

stoją świątyń oparte kolumny i mury,
szare, nagie i smutne wśród bujnej zieleni
i połysków słonecznej złotawej purpury.

Hallucynacya.

W miesięcznej pełni srebrzystym fosforze,
po nieskończonej wód ciemnych roztoczy,
Łódź z sennem wiosłem powoli się toczy
wędrując kędyś samotna przez morze.

Na jej dnie, padłszy miękko jak na łoże,
naga, w księżycą mgławicy przezroczej,
na wznak, milcząco z zamkniętymi oczy,
leży kobieta. Łódź płynie w bezdroże...

Wtem z wody morskiej ciemnych, cichych głębi
wielki, potworny kształt dźwiga się, dębi:
wodnika cielsko oślizgłe, miedziane

ku łodzi z nagą żeglarką podpływa
i wpija oczy w nią obłędne, szklane,
a ona leży senna, czy nieżywa...

Symbol.

Noc na wód cichem, bezbrzeżnem pustkowiu.
Przez nieruchome ciemnych wód tumany
na fale księżyc prześwieca miedziany
wśród gwiazd o blasku przygasłym ołowiu.

Wiatr świszcząc głucho, jak w gęstem sitowiu,
pełza po wody powierzchni rozchwianej,
i zda się wlecze senne oceany
ku nagich, skalnych wybrzeży wezglowiu.

Na głębi głuchej, ciemnej i bezkresnej,
w mglistym księżycą blasku się kołyszce
krzyż — na nim Chrystus rozpięty bolesny.

Gdzieś w nieskończoność, w nieprzebraną ciszę,
w niezmierną pustkę płynie przed odmętą
krzyż — na nim Chrystus bolesny rozpięty...

Pragnienie.

O zanurz się, o zatop bez pamięci
myśli targana żalem i zgryzotą,
w przedpokowej ziemi wizyę złotą,
w orkan traw, kwiatów, sitowia i pręci!

Olbrzymi powój niechaj cię okręci
pod purpurową od kaktusów grotą;
namiot potwornych paproci niech złoto
słońca rozszrebrni i rozdyamenci!

O zanurz się, o zatop, smutna myśli,
w oślepiających, szalonych obrazach,
które fantazyja piórem z ognia kreśli!

W wysiłających, dzikich giń ekstazach,
aż przepalona płomieniem opętań,
upadniesz w głuchą otchłań niepamiętań!

Mastodonty.

Burza drzew! Pniów przepaście, ocean konarów,
huragan życia, wulkan wzrostu i rozwoju,
kaskady złotych liści, fontanny powoju,
huk kwiatów pękających od słońca pożarów.

Cicho — wtem wielkie płazy dźwignęły z mo-
[czarów
potworne lby, złociste od złotych much roju;
jeleni, co z kryształnego zbiegł napić się zdroju,
stanął, nastawił uszy i pomknął przez parów.

Głuchy grzmot wybiegł z lasu dalekich zakątów,
zadrzały drzewa, jako przed nadejściem tuczy —
grzmot rośnie, cała ziemia dygota i huczy;

błysnęło — to kły białe — — nakształt morskiej
[fali,
co się wzburzona naprzód bez pamięci wali,
wybiegło z głębi puszczy stado mastodontów.

Pierwotne zjawisko.

Potworne pierwotnego zjawisko chaosu!
Przez gąszcz traw i paproci, zawichrzzone lżany,
wykroty drzew olbrzymie, bagnisk oceany,
zapadając w głąb liści opadniętych stosu,

pędzi kobieta z płaszczem rozwianego włosu,
cała siercią porosła; za nią, tocząc piany
z kłów białych, krzyk wydając z piersi ury-
[wany,
gna mężczyzna, podobny z kształtu do kolosu.

Nagle z drzew gigantycznych zgniłego złomi-
[ska
skoczył goryl, pochwyił kobietę w ramiona
i przygniótl, chrapiąc dziko, pierś swą do
[jej łona.

Człowiek ryknął, owinął palce nakształt węży
wkoło gardła goryla, w kark mu zęby wciska,
a ona — uwolniona — czeka, kto zwycięży?

Delfiny.

Woda. Słońce rzuca złote blaski
na pogodny błękit biało-chmury,
oceanu złociste lazury
i wysepek lśniaco-żółte piaski.

Kormoranów szarych słycać wrzaski,
morski orzeł krąży białopióry — —
tam, w oddali błysły białe sznury
nad szklistością wód i złote kaski.

Zaszumiało — szybko szum się zbliża,
sznury mienia się w srebrzyste wstęgi — —
to delfinów płynie fala chyża.

Z nozdrzów wody tryskają im słupy
grzbiety lśnią się, jak złote skorupy,
a za nimi lecą wodne pręgi.

W ą ż.

Słońce roztapia błękit i ziemię rozłsniewa,
złotem spłynęły rzeki, promienieją skały,
palą się hyacenty, lilje spłomieniały,
pachną kwiaty i wonią wybuchają drzewa.

Pod sennemi palmami legł Adam i Ewa:
błyszczą w słońcu nagiemi, leniwemi ciała,
światło pełza po Ewy skórze gładkiej, białej,
z liści się na nią złote, rozognione zlewa.

Adam patrzy i widzi to światło na włosach,
na ustach jej, na oczach, na piersiach i łonie,
widzi, jak między uda pieściwie się wkrada,

widzi, jak Ewa leży bezwładna i blada,
jak w tych opłotach światła omdlewa i pło-
[nie —
i utonął w jej objąć otwartych niebiosach.

Nimfy.

Pod księżycą złotawym, zimnym seledynem,
w poblasku ciemno-mgliste morze bezwy-
[brzeżne,
mgieł lotnych płasające stada złotopierzne
i tygrysie gwiazd oczy na pustkowiu sinem.

Z krągłą puszystą czarą, z długim liści klinem,
z głębin się wydobyły na fale bezmierzne
ogromne jakieś kwiaty i żółtawo-śnieżne
lśnią w księżycu swych liści zimnym perga-
[minem.

Blade milczące nimfy głowę długoruną
na liściach kwiatów kładą i w niebiosach oczy
utkwivszy, nieruchome leżą na wód fali —

a kędyś błyszczą chłodnym twardym blaskiem
[stali
oczy morskich potworów wśród wodnych roz-
[toczy
i jak gwiazdy po ciemnej topieli się suną.

Widziadła okrętów.

Noc. W ciemnym niebie księżyc wielki, złoty.
Głuche powietrznej bezdeni pomrocze.
Milczące, ciemne morskich wód roztocze.
Niezmierna cisza pustki i martwoty.

Niezmierny spokój — — wtem z głębin ciem-
[noty
blask jakiś błądy w oddali migocze,
światło posępne, martwe, nieprzezrocze
błękitniejszej fosforu pozłoty.

Zbliża się, płynie — — dziw! smugami pnie się
wzdłuż lin i masztów, obrzeża pokłady
cieniom podobnej okrętów gromady.

Płyną powoli — i jak mgła w bezkresie
giną gdzieś w pustce milczących odmętów
widziadła dawno przepadłych okrętów.

Pusty okręt.

Kędyś, kędy nikt się nie ośmieli
z żywych płynąć na bezkresy morza
u ścian skalnych stromego podnóża
stoi okręt na ciemnej topieli.

Pod blask słońca jak szkielec się bieli:
wicher rozniósł żagle na przestworza,
nagie, sztywne sterczą maszty z łoża,
nakształt suchych, olbrzymich piszczeli.

Zwolna, wieki, pogrąża się w bezdno
ten trup-okręt wbity do cieśniny — —
pustka śmierci — czasem tylko siny

cień skał nagich na deski się kładzie
w noc miesięczną błądą i bezgwiezdną,
lub krab pełza po pustym pokładzie.

Pusta wyspa.

Pusta wyspa: grunt nagi, skalisty,
słońce żarem płomienia go pali;
brzegi czerwien ukwieca koralu,
w gruzach mętne błyszczą ametysty.

Wiatru smutne, przeciągłe poświsty
pustką włóczą się z fali do fali;
coś się w słońcu ich skarży i żali,
gdy o kamień się otrą ognisty.

Nad krynice w kotlinach nieżywe
tej oazy wyschłej morza, z głazów
sterczą nagie drzew bezlistnych słupy.

Pusto — tylko olbrzymie skorupy
jakichś martwych błyszczą w słońcu płazów,
nieruchome, potworne, straszliwe.

Z nad morza.

O ciche, ciche morze!... Gdyby w twe odmęty
można paść i znicestwić w twoich wód ogro-
[mie...

Nie chciałbym istnieć więcej nawet nieświa-
[domie,
gdy przejdę przeznaczeniem szlak życia wy-
[tknięty.

Poznanie krew zamienia w proch, piołun i męty,
truczną w każdym duszy zaszczepia atomie,
nieprzyjaciół straszliwy, pełznący kryjomie,
nigdy niewyczerpany i zawsze zawzięty.

Tam, w tych przepaściach wodnych przepaść jak
[żwir z brzegu,
nic nie czuć, nic nie pragnąć, wszystko zrzu-
[cić z siebie,
na zawsze się wymazać z ciała i dusz szeregu...

Tam — — nic nie chcę... Na wieki niechaj mię
[pogrzebie
jakiś odmęt, niech zginę tak i znicestwieję,
jak nicestwieją w życiu wiary i nadzieje...

Cisza morska.

Cisza morska. Zgłodniała, spragniona załoga
behradnie na straszliwy patrzy bezkres wody;
przestano liczyć słońca zachody i wschody,
na okręcie jest tylko rozpacz, ból i trwoga...

Na pokład weszła mara zagłady złowroga,
szle dławiące pragnienia i płomienne głody;
ciche, przeciągłe wieją śmierci trupie chłody,
a niebo nad wodami zda się być bez Boga.

Kapitan stał pod masztem, w ręce lont mu
[płonie — —
na ciemnym dnie okrętu beczki z prochem
[stoją — —
jeden krok, jedną iskrę z lontu niech zapró-
[szy — —

czemuż stoisz tak blady? czemu drżą ci dło-
[nie?
Głupcy się tylko własną śmierć przyśpieszyć
[boją — —
ha! lont zadeptał... Giń więc w powolnej ka-
[tuszy!...

Rozbitki.

Lękać się morza? W tej czarnej fali
tak cicho, słodko będziemy spali,
tak odpoczniemy po burzach — —
nigdy patrycyusz rzymski z dziewczyną,
wonne Falernu spijając wino,
nie spoczął słodziej na różach.

Lękać się morza? Wszystko stracone,
łódź nam strzaskały wichry szalone
mamyż na nagiej tej skale
z rozpaczy kąsać własne swe ręce
i patrząc w niebo, w powolnej męce
wyc, jak zgłodniałe szakale?

Żaden ztąd okręt nas nie ocali,
nie widać żagli na pustej fali,
wszystko stracone — prócz woli!
Wszak każdy nóż ma i serce? Śmiało!
Czemu patrzycie z twarzą zbielałą?
Na Boga! Krótko zaboli!

Wiecznie samotni.

Wiecznie samotni!... Pośród tłumu ludzi,
gdy serce nasze wstrząsnie ich sercami,
gdy dusza nasza ich dusze obudzi
i tłum ten cały koło nas się tłoczy,
dłoń wyciągając ku nam, wznosząc oczy:
jesteśmy sami.

Wiecznie samotni!... Gdy w najbliższym kole
twarze gorzkimi zraszają się łzami,
wspólne pragnienie zaświeci na czole,
albo wybuchną ludzie szczerym śmiechem:
my, łzom i szczęściu wtórujący echem,
jesteśmy sami.

Wiecznie samotni!... Nawet w takiej chwili,
gdyśmy spleceni wzajem ramionami
z kobietą dusze i ciała złączyli,
gdy z nią przeniknąć pragniemy się wzajem,
jej serce bierzem i jej serce dajem:
jesteśmy sami.

Wiecznie samotni, wiecznie szukający
z wiecznej nadziei wiecznemi złudami,
pełni tęsknoty gorzkiej i palącej,
błądzim po świecie, dziwne, obce cienie — —
wreszcie ostatnie wydając westchnienie
jesteśmy sami.

Zmartwychwstały.

Spokojność senna i milczenie
w srebrnej melodii księżycowej
na nieskończone szły przestrzenie
ciche na wzgórzach snując cienie
i zatapiając się w parowy.

Wysoko kędyś po gór zboczy
księżyc złociste siał mgławice
płynąc w otęczy mgieł przezroczej
i po odległej mórż roztoczy
wiódł tęskne, lśniące swe źrenice.

Świat w nocnym chylił się omdleniu
w zadumy sennej głuche tonie
i tylko kwiaty w zwiewnym tchnieniu
błyszczącym w nieba zamyśleniu
dalekim gwiazdom słały wonie.

I była cisza i pustkowie
dokoła grobu w ścianie skalnej;

posnęli twardym snem stróżowie,
wziąwszy swe tarcze za wezgłowie,
a grot dzirytów błyszczał stalny.

Wtem wieko z głązu wstecz opadło
i na księżycu światło białe
z twarzą śmiertelnie wyszedł zbladła
Chrystus owity w prześcieradło
i o grobową wsparł się skałę.

I jakby odchodziły owe
moce, co Go zbudziły w grobie,
pochylał zwolna na pierś głowę
i siadł na wieko grobowcowe
czoło swe kryjąc w dłonie obie.

Na jego barki i na włosy
padała jasność złotą smugą
i kilka kropel świetlnej rosy
rzuciły nań naskalne wrzosa...
siedział i patrzył w pustkę długo.

Na ciemnym niebie gwiazdy zbladły
a skraj się wschodu już zabiela,
On jeszcze siedział w sen zapadły — —
i na zroszoną ziemię padły
dwie gorzkie łyżki Odkupiciela.

Anioł pański.

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

W wieczornym mroku, we mgle szarej,
idzie przez łąki i moczary,
po trzęsawiskach i rozłogach,
po zapomnianych dawno drogach,
zaduma polna, Osmętnica...
Idzie po polach, smutek sieje,
jako szron biały do księżyca...
Na wód topiele i rozchwieje,
na omroczone, śpiące gaje,
cień, zasepienie od niej wieje,
włóczą się za nią żal, tęsknica...
Hen, na cmentarzu ciemnym staje,
na grób dziewczyny młodej siada,
w świat się od grobu patrzy blada...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

Na wodę ciche cienie schodzą,
tumany się po wydmach wodzą,
a rzeka szemrze, płynie w mrokach,
płynie i płynie coraz dalej...
A coś w niej wzdycha, coś zawodzi,
coś się w niej skarży, coś tak żali...
Płynie i płynie, aż gdzieś ginie,
traci się w górach i w obłokach,
i już nie wraca nigdy fala,
co taka smutna ztąd odchodzi,
przepada kędyś w mójz głębinie
i już nie wraca nigdy zdala...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

Szare się dymy wolno wleką
nad ciemne dachy, kryte słomą —

wleką się, snują gdzieś daleko,
 zawisną chwilę nieruchomo
 i giną w pustym gdzieś przestworzu...
 Może za rzeznąą płynąć falą,
 polecą kędyś aż ku morzu...
 A mrok się rozpościera dałą
 i coraz szerzej idzie, szerzej,
 i coraz cięższy, gęstszy leży,
 zatopił lasy, zalał góry,
 pochłonał ziemię do rubieży,
 na niebie oparł się ponury...

Na Anioł Pański biją dzwony,
 niech będzie Marya pozdrowiona,
 niech będzie Chrystus pozdrowiony...
 Na Anioł Pański biją dzwony,
 w niebiosach kędyś głos ich kona...

Idzie samotna dusza polem,
 idzie ze swoim złem i bolem,
 po zbożnym łanie i po lesie,
 wszędy zło swoje, swój ból niesie,
 i swoją dolę klnie tułaczą,
 i swoje losy klnie straszliwe,
 z ogromną skargą i rozpaczą
 przez zasepioną idzie niwę...
 Idzie, jak widmo potępione,

gwizdże koło niej wiatr i tańczy —
 w którą się kolwiek zwróci stronę,
 wszędzie gościniec jej wygnańczy — —
 nigdzie tu miejsca niema dla niej,
 niema spoczynku, ni przystani...
 Idzie przez pola umęczona,
 łamiąc nad głową swą ramiona...

Na Anioł Pański biją dzwony,
 niech będzie Marya pozdrowiona,
 niech będzie Chrystus pozdrowiony...

XIX wiekowi.

Naprzód! przez zawichrzzone ludzkości prze-
[wały!

Naprzód! przez kolumn świata strzaskane zwa-
[liska!

Naprzód poprzez przekłete wojen bojowiska
i jasne cisze świętej pokojowej chwały!

Naprzód przez głód i przesyty, przez skarby
[i nędzę,

naprzód przez śmierć i życie, rozkosz i mę-
[czeństwa!

naprzód przez cały wielki wszechbyty człowie-
[czeństwa!

Nie możemy przestać istnieć — więc natężmy
[wolę

los zwalczyć i szczęśliwą wyrwać mu z szpon
[dole!

Moc ducha przeciw ślepej fatalnej potędze!

Naprzód! lepiej w gonitwie do słońca w proch
[runąć,
niż czołgać się po ziemi! Krwi swej wylać rzeki
w obronie pragnień życia, niżby przyszłe wieki
epoce naszej miały w twarz z pogardą plunąć!

Z orlej wyżyny.

Z orlej wyżyny gdy się spojrzy na dół,
widzi się nędzę, wir, klęskę i zbrodnię,
jakiś piekielny wichur na świat zadał
i świat pociemniał, błotnieje i chłodnie.

Jest jakaś gwiazdą błędną, bezcelową,
jakimś chaosem sprzecznym, jakimś mętem;
jakiż mu świeci przewodnicze słowo?
Co mu jest wiara i co mu jest świętem?

Naprzód! ha, naprzód... Leczek dokąd? Gdzie
[droga?
Krew z krwią się zмага, ból z bólem, gwałt
[z gwałtem,
bożyszcz jest tyle, że zabrakło Boga,
i form jest tyle, że byt jest bezkształtem.

Naprzód, ha, naprzód! Ależ wszyscy gonią
to jedno hasło, nikt się zeń nie cofa —

tylko wrzask wściekły jest hasła harmonią
i bagnet pryska o szczyby kilofa.

Naprzód!... Ten bogacz co ściga dukaty,
i ten robotnik, co groz z nędzny goni,
te dwa odrębne, nienawistne światy,
głos łączą w jednej i wspólnej harmonii.

.

.

.

.

Naprzód! Wszak wszyscy suniecie się spałem,
kłamstwo, że świat chce kto wstrzymać w po-
[chodzie —
wszyscyście naprzód obróceni czołem
i wszyscy dążni — ku swych wrogów szkodzie.

Sami wrogowie... Kędy się obrócić,
szczepy, narody, pokolenia, kasty:
wszyscy gotowi się na siebie rzucić,
jakby nie byli z Męża i Niewiasty.

Czyż jednych z wnętrza wyzionęła ziemia?
Drugich zrzuciło na tę ziemię słońce?
Innych wiatr rodzi? Innych grom rozplemia?
A innych morze wyziewa ryczące?

Sami wrogowie, zajadli, zaciekli:
 ząb za ząb, oko za oko, bój za bój;
 coś się w nich dławi zawiścią i wściekli,
 szaleją z pasy, muszą iść na zabój!

Tak nienawidzą się, że wolą z wrogiem
 lec w trumnie raczej, niż żyć obok niego —
 przemoc ich wiarą, nienawiść ich bogiem —
 i wszyscy oni naprzód! naprzód biega...

Banda opryszków, co się wzajem pali,
 kradnie, morduje — — ci z góry, ci z dołu;
 jak stado głodem obłądnych szakali,
 gryzą się, wyją i pędzą pospołu.

Dalej i dalej... I dokąd?... I po co?...
 Z orlej wyżyny gdy się patrzy w górę,
 nad głową gwiazdy błękitne migocą,
 lub niebo w złotą stroi się purpurę...

Pochwała dawnej dzielności greckiej.

STROFA I.

Młodzieńcze grecki, co silny i śmiały,
 jednegoś pragnął: nieśmiertelnej chwały;
 jedną miał dumę: piersią swą zastawić
 zagrożoną ojczyznę,
 ubogie wzgórze i pola nieżyzne
 od klęsk wybawić:
 ku twej, o mężny, sławie i pamięci,
 pieśń niech się moja dziś wzniesie i święci.

W bystre i zimne Eurotasu wody
 młodzieńców Sparty skakał zastęp młody;
 przez dzikie knieje, ostępy i haszcze,
 długokływego dzika
 ścigali; morze nawie Ateńczyka
 otwiera paszcze;
 tessalskich źrebców z wichrowemi grzywami
 dosiąść, tam żaden nie bywał leniwy.

STROFA II.

Naprzeciw Persów strasznej nawały
lwem na bawołu szedł hufiec mały.
Przeszli z Aresa krwawych wysieków
w podziw potomnych najdalszych wieków.
Pod Maratonem i Salaminą
ci, co polegli w walce, nie giną,
lecz drugiem życiem z martwych ocknięci,
wiek na wiek wałą*) w ludzkiej pamięci.

Trzystu Spartanów w Termopil jarze
bogom z czar wino wylało w darze.
Kserksesa miljon gdy w nich uderzy:
miljon od trzystu pierzchnął puklerzy.
Zdradą zwalczeni, legli nareście.
Brzmiał krzyk tryumfu po całym mieście,
bo ni jednego z nich nie ujrzano,
by krwawił raną w plecy zadaną.

*) Tu i owdzie w przedrukach widziałem to wyrażenie poprawione na »żyją«, szkoda, że bez zrozumienia treści i bez sensu.

STROFA III.

Delfy, gdy wrogów tłumem obłęzone,
dwóch bohaterów daje im obronę,
jak wilków stado płoszące dwa tury;
w Sparcie piersi mieszkańców
miast bram obronnych były i miast szańców;
w Hades ponury
Epaminondas gdy szedł: to mu starczy,
że wróg nie uniósł z pola jego tarczy.

Pindar efebów idących w zawody
przez wiecznotrwałę upamiętnił ody;
jak potok deszczem spiętrzony nad brzegi,
co z gór się stromych pieni:
on się ogromny stacza ku bezdeni.
Wieków szeregi
idą. Tak niegdyś czyny czczono dzielnie,
czyn wzajem pieśni budził nieśmiertelne.

Oda jowialna

Jak na górach południa, za ledwie śnieg znika,
wykwita macierzanka i różyczka dzika,
a dzwonek się przy ziemi
listeczkami uśmiecha fioletowemi;

i amarant się puszcza i wiąz pachnie młody
i czerwinią się w trawie zielonej jagody,
a pasterz, pędząc kozy,
żółtemi jaskry widzi zdobione wąwozy:

tak, młodzieńcze! i tobie zakwitnie zielono
dusza i skroń czuć będziesz kwiatem umajoną,
gdy — o szczęsny poranku! —
ostatni wyplącony weksel wyjmiesz z banku.

Oda przestrożna.

Studyuj, mi care, pilnie naukę, z której
nieśmiertelną cześć niegdyś Hipokrat zyskał,
poznaj ciała ludzkiego wszelkie tajniki,
abyś

jeślić kiedy postawi los wprost kobiety,
której urok ci duszę młodą opęta:
poznał zawczasu, czyli ma ona w łonie
serce?

Tak, gdy podróżny w górach pnie się na kra-
[wędź,
kiedy wiatr się przetacza, jak nurt kaskady:
niech wie, czy za krawędzią ścieżkę, czy prze-
znajdzie? [paść

Nieczas bowiem zawracać, gdy bezdeń ciemna
myśli w głowie pomiesza i rwie ku sobie,
i śpi wysokie niebo, kiedy niebaczny
runie.

Ptaki.

(Bajka)

Pewnego razu, ztąd coś niedaleko,
stado żórawi, zmęczone długą
wśród chmur żegluga,
przysiadło sobie nad rzeką.
Wnet wszystkie kawki i wrony,
sroki, gawrony,
dudki, wróble i czyżyki,
gęsi, indyki,
kapłony, sikory, trznadłe
zbiegły się ogromną zgrają
i jęły wrzeszczeć zajadle:
»A włóczęgi, świszczypały,
do roboty nic nie mają,
tylko latać przez dzień cały!
Miejsca nigdzie nie zagrzeją,
raz tu, jutro znów za morzem —
włóczą się, gdzie ich nie sieją,
gdy my spokojnie siedzieć w miejscu możemy...

Im się chce latać po niebie,
gdy każdy ptak porządny,
normalny i rozsądny,
w spokoju ducha po śmietnikach grzebie.
Dlaczego nam: kapłonom,
gawronom, wronom,
dudkom, kurom i czyżykom,
gęsiom, srokom i indykom
nie zachciewa się chmur, ani słońca,
ani pustyni bez końca,
ani żadnych mórz bezdennych,
ani żadnych ziem promiennych?
Wstyd ptakom, myślącym seryo,
przynosi ta żórawia wędrowna hałastra,
ze swoją podobłoczną pustą fanebryą
i swą bezprocentową dewizą: ad astra!
jakby tu, nízko, przy ziemi,
nie mogły siedzieć z ptakami innemi
i jakby nie dla wszystkich ptaków na tym świe-
[cie
były zarówno śmietniki i śmiecie!«
Wtem podniosły się z szumem żórawie pod
[chmury
i rozkrzyczanej czeredzie szanownej
posłały respons wymowny — —
wprost na łby z góry.

II.

DLA RYMU

I.

Kocham cię, światło! Na moje źrenice
zlewasz się falą; nurzam się w niej, tonę,
oczy ku tobie wznoszę roz tęsknione,
na twojej jasności promienną mgławicę.

Kocham cię, jasna! Patrę na twoje lice,
oczu szafiry rzęsą ozłoczone,
na krasę twoich ust — patrzę i płonę,
tem więcej pragnąc, im więcej się sycę...

Kiedy mię światło falą opromienia,
zda mi się, czuję twoje uściśnienia,
a gdy w ramiona, ciebie, jasna, chwytam:

całą mi światła płonie świat ozdoba,
i sam już nie wiem i sam siebie pytam:
czyś ty jest światłem? czy światło jest tobą?

II.

Pójdziemy razem na gięte przełęcze
oblękitnionych gór nad morską tonią;
pójdziemy słuchać, jak w oddali dzwonią
fale, od skał się rozbryzgując w tęcze.

Pójdziemy patrzeć, jak się na pajęcze
lotne mgieł łodzie blaski słońca kłonią
i za okrętów białym żaglem gonią
za ciemne morskich rubieży obręcze.

Pójdziemy patrzeć, kędy wśród lazuru
marzącej wody Capri się promieni
błyszczącą ścianą skalistego muru...

Serca nam usną, a dusze zatoną
w jakiejś niezmiernej, świetlanej przestrzeni,
w słonecznych omdleń ciszę nieskończoną...

III.

A kiedy będziesz moją żoną,
umiłowaną, poślubioną,
wówczas się ogród nam otworzy,
ogród świetlisty, pełen zorzy.

Rozwonią nam się kwietne sady,
pachnąc nam będą winogrady,
i róże śliczne i powoje
całować będą włosy twoje.

Pójdziemy cisi, zamyśleni,
wśród złotych przymgleń i promieni,
pójdziemy wolno alejami,
pomiędzy drzewa, cisi, sami.

Gałązki ku nam zwisać będą,
narcyzy pięć się srebrną grzędą,
i padnie biały kwiat lipowy
na rozkochane nasze głowy.

Ubiorę ciebie w błękit kwiatów,
niezapominek i bławatów,
ustroję ciebie w paproć młodą
i świat rozświetlę twą urodą.

Pójdziemy cisi, zamyśleni,
wśród złotych przymglen i promieni,
pójdziemy w ogród pełen zorzy,
kędy drzwi miłość nam otworzy.

IV.

Idą błękitne, ciche, zamyśłone
przez sfer milczące skryształone tonie,
lotne, jak blaski, powiewne jak wonie,
idą błękitne, ciche, zamyśłone —

idą błękitne, ciche, zamyśłone,
gdy śnieg w miesięcznym seledynie płonie
i góry błyszczą w szafirów oponie,
idą błękitne, ciche, zamyśłone...

idą błękitne, ciche, zamyśłone,
jak przez wikliny ponadbrzeżne wiotkie
światła słoneczne z wody, jasne, słodkie,

jak z dali fletów dwa dźwięki pastusze:
ku sobie nasze rozkochane dusze
idą błękitne, ciche, zamyśłone.

V.

Widzę kraj jakiś w oddali, w oddali,
kraj z mgły przejrzystej, z rozkołysań sosny,
z letnich południ i z porannej wiosny,
z cisz szmaragdowych na łąk ciemnej fali,

z blasków, gdy słońce morze rozopali,
z majowych nocy zadumy miłosnej,
z drgnień dzwonek polnych, z rozmowy pół-
[głosnej
limb zamysłonych wśród milczącej hali...

Widzę kraj taki jak przez modro-złotą
gazę, co wiesz się na młodym gaju,
drżąca i cicha, pajęcza i zwiewna...

To kraj twej duszy, z tego ona kraju,
oblękitniona mych marzeń tęsknotą
spłynęła ku mnie, promienna i śpiewna...

III.

ALBUM LIRYCZNE

Muszla.

Niewielka, stara muszla na mym stole leży,
jest to jeden z mych skarbów, choć warta tak
[mało;
nie wiem, z jakiego morza pochodzi wybrzeży,
ni jak dawno jej morze szumieć już przestało.

Odkąd siebie — i muszlę tę pamiętam starą,
i dziś, ilekroć tylko spojrzę na nią razy:
owiane jakąś smętną, głęboką mgłą szarą,
stają mi przed oczyma dawnych lat obrazy.

Ale najlepiej lubię przymknawszy powieki
przyłożyć ją do ucha i słuchoać jak szumi:
wtenczas całą mą duszą wracam w świat da-
[leki,
w toń wspomnień, które życie zacierą i tłumi.

Przypominają mi się pola i ogrody,
dom pośród ciemnych smreków i różanych
[krzewów,

pastwiska i wikliny, bystre górskie wody,
jasność kamyków na dnie, albo męt wylewów.

Przypominają mi się tajemnicze mroki
wśród szpalerów wieczorem, gdy pełen
szedł, słysząc czyjeś szepty, słysząc jakieś
[obawy
[kroki,
ciche, lotne, zaledwo tykające trawy.

Przypominają mi się dziwne baśnie, dziwy,
które mi szły z gór ciemnych przez lasy i łąny,
i groza, kiedy wichry rozpuściwszy grzywy
wiozły z nich chmury gradu, lub śniegu tu-
[many.

Przypominają mi się me pierwsze marzenia:
amerykańskie bory i dzicy Indyanie,
bezludne wyspy, pełne palmowego cienia,
lwy w sitowiacz i śmieszne małpy na platanie.

Przypominają mi się te białe okręty
płynące w wyobraźni gdzieś morską bezdenią;
błękitna, straszna cisza, albo burzą wzdęty
ocean, gdy się fale pod obłoki pienia.

Przypominają mi się pierwsze uczuć świty,
pierwsze miłości moje z bajek Andersena;

pierwszy ten nieświadomy pociąg do kobiety,
która nęci, jak w falach niewidna syrena.

Pierwszą moją miłością była świtezianka
zakochana w młodzieńcu pięknym z okolicy,
co, by zawsze być blisko swojego kochanka,
stratą głosu kształt ziemski kupiła kobiecie.

I ta mała dziewczynka wśród śniegów i lodu,
na stepie renifery karmiąca rogate,
co miała wał śniegowy za mur do ogrodu,
w nim lodowe zarośla i lodową chatę.

Inna, kędyś łabędzi powieziona parą,
nie wzięła nic ze sobą, tylko piosnkę rzewną:
spotkała w lesie smoka, czarownicę starą,
i wróżka ją cudowna zrobiła królowną.

Tym wszystkim wyobraźni kochankom dziecin-
dawałem duże, jasno-szafirowe oczy, [nej
białe ciało o linii falistej i płynnej,
blond włosy i głos pełen melodyi uroczej.

Jeszcze słyszę, jak mówią, jak dźwięczą nade-
[mną
kryształem tego głosu co o srebro trąca —

spotkałem głos ten później — i dziś nocą ciemną
zda mi się, że na szybko zabrzmiał w łzach
[miesiąca.

Zdaje mi się, że głos ten sam do mnie przy-
[lata
powiedzieć mi te słowa, które słyszeć mia-
[łem — —
zabrzmiał i jak jaskółka odbiega skrzydlata,
i martwy blask po oknie pełnie oniemiałem...

Zdawało mi się niegdyś — i któż z nas tak nie
[śni? —
zdawało mi się niegdyś, żeś szedł w toń ró-
[żaną;
człowiek się ze snu budzi, tem lepiej im wcze-
[śniej
i taki sam zostaje — z jedną tylko zmianą.

Dusza jego na pozór zostaje jednaka,
jak kwiat, stuliwszy liście, znowu je roztula,
tylko będzie jak skrzydło postrzelone ptaka:
wygoiło się wprawdzie, ale tkwi w niem kula.

Więc niema już ptak taki odwagi do lotu,
a jeśli to był żoraw, przeraża go morze;

lęka się ciemnych głębi głuchego łoskotu
i długiej nad niezmierne wędrówki bezdroże...

Zdawało mi się niegdyś... Dziś, kiedy do ucha
przytknę tę starą muszlę: gdzieś w dalekie
[kraje
wiedzie mnie, kędy pustka rozciąga się głucha
i gdzie nigdy od wschodu słońce nie powstaje.

Błąkam się kędyś w lasach i puszczech dzie-
[wiczych,
w jakichś górach przepastnych, w jakichś pie-
[czar sklepach,
po jakichś zadumanych wodach tajemniczych,
niezmierzonych jeziorach, bezgranicznych ste-
[pach.

Jakie tam dziwne świecą na niebie księ-
[życe — —
po kilka naraz, błyszczą nad ziemią tak nisko,
odbijają się w wodzie i w srebrne źrenice
obejmują milczących pustek uroczysko.

Rosną tam dziwne drzewa, jodły tak olbrzymie,
że sięgają gór wierzchów, a niebo nad niemi
w wilgotnych, szarych mgławic falującym dy-
[mie,
jakby martwe zamarłej przygląda się ziemi.

Tam nic niema... Pustynia, stepy, góry, morze,
i duszy mojej smętna, zadumana mara;
patrzę wkoło i nieraz sam w sobie się
[trwożę —
gdzie jestem?!... To mi szepce moja muszla
[stara.

Jest-li to ten świat dawny, który przed mi-
[lionem
wieków ona pamięta? Są to urojenia
obłąkanej fantazyi, co w oku szalonym
ma jakieś dziwne, nigdy niebyłe widzenia?...

Tam jednak w tej pustyni, tam jest mi naj-
[lepiej,
tam dusza moja siada na omglonym głazie
i gdy się cała w sobie skupi i zasklepi,
tonie w ogromnych milczeniach i głębin eksta-
[zie.

Lubię tonąć w otchłaniach bezgranicznej głu-
[szy,
w abstrakcyjnym pojęciu żywego bezbytu,
gdzie wszystko się jednoczy i jest w jednej
[duszy,
gdzie w duszy ma się wieczność, ziemię, sklep
[błękitu.

Lubię patrzeć oczyma wewnątrz zwróconemi
w świat, co się niezmierny sam w człowieku
[stwarza,
tak wielki, tak odległy, tak różny od ziemi,
świat bez wrzawy, bez zgiełku, bez krwi i cmen-
[tarza.

Ale najlepiej lubię, gdy szumiąca głucho
stara muszla mię wiedzie w wspomnień kraj
[daleki;
szumi mi, jak me serce — — gdy doń przytknę
[ucho,
słyszę, jak smutno szepce: na wieki, na wieki...

Złudzenie wodne.

Patrzę na wodę rozlaną błękitnie,
czy z niej rusałka jaka nie wykwitnie?
Czy na niezmiernej błękitnej bezbrzeży
pod słońce białą piersią nie zaśnieży?
Czekam na cud...

Lecz oto z głębin wodnych się dobywa
głowa topielca ruda i straszliwa
i oczu na mnie zwraca bielma szklane
i z warg obrzękłych toczy ślizgą pianę
wśród modrych wód.

Morze.

Spokojne, nieskończone morze — —
wiatr je w faliste smugi orze,
z poza skrzesanej prosto skały
na słońce pędzi żagiel biały
i z za bezkresu wodnej toni
białych obłoków stada goni
i ku mnie po tym wód bezkresie,
prócz zapomnienia, wszystko niesie.

W Salerneńskiej Zatoce.

Gdyby to morze tam na dole nizko
i ta w słonecznych chmurach skał korona,
mogły dla duszy być wieczną kołyską...

Gdyby tam, wolna od złowrogich przeczuć,
od gorzkich smutków na wieki zwolniona,
mogła niepragnąć, niepamiętać, nieczuć...

Gdyby tu mogła, w tem błękitnem niebie
i w tem błękitnem morzu roztopiona,
zapomnieć ziemi i odnaleźć siebie...

O góry, niebo, o morze bezkresne!
weźcie ją w swoje błękitne ramiona
jak dziecko w pustce błędne i bolesne...

Dziecinne westchnienie.

Na niebie wielka pełnia złota,
błyskają ciche błyskawice;
na morzu złoty blask migota
i w lśniącą szerzy się ławicę.

W krąg światło, blaski — — Boże, Boże!
lampęś zawiesił na błękicie,
tak cudnie złocisz świat i morze,
gdybyś tak złocił ludzkie życie...

Na Via Caracciola.

Spokojnie szumi i łagodnie
uśpione morze. Noc nadchodzi.
Zdala czerwono, jak pochodnie,
kagańce lśnią rybackich łodzi.

Księżyc ze srebrnem wyszedł licem
i sieje blask na góry strome;
cyprysy srebrzą się księżycem
i palmy stoją nieruchome.

Senna na piersi spada głowa
i marzeń się owija tęczą,
mgławicą zadum się osnowa
i swoją przeszłość śni młodzieńczą.

I zapomina, że na czole
stanął jej w boju los zwycięzki;
traci z pamięci swoją dołę,
porywy swoje i swe klęski...

Pielgrzym.

Gdziekolwiek zwrócę wzrok, wszędzie mi je-
[dno — —
na północ pójdę, czyli na południe:
wszędzie napotkam cień od spieki słońca
i znajdę studnię.

Wszędzie nad głowę znajdę dach wśród nocy
i wszędzie mogę za grosz kupić chleba — —
i nawet nie wiem, czego ludziom w życiu
więcej potrzeba...

Mewy.

Te nad morzem obłąkane mewy
zdają mi się, jak myśli człowieka,
których w całym ludzkim wielkim życiu
nic nie wzywa, ani nic nie czeka...

Trącona struna.

Z głębi jeziora do księżycy
płynie melodia srebrnolica...

W głębinie lasu wśród paproci
szmer się w księżycy blasku złoci...

Zwielnione grzywy morskiej piany
niosą w księżycu szum świetlany...

Wśród róż nadwodnych woni świeżej
piękna dziewczyna naga leży...

Księżyc we włosach jej migota,
jej ciało jest jak harfa złota...

Róże się słonią w mgłę przegonną,
jej włosy dźwięczą pieśnią wonną...

Na pamiątkę.

Jeżeli duchy mają żywot wieczny,
jeżeli wieczne przechodzą przemiany,
to ziemia dla nich jest tragedią bytu;
życiów jakichś marzą blask słoneczny
i chcą dla siebie czegoś z za błękitu —
i na nędz swoich patrzą krwawe rany.

* * *

Jeżeli kiedy choć godzinę jedną
jak gdyby cichem, dalekiem ustroniem
było ci serce czyje; jeśli chwilę
spokój i ulgę w niem miałas bezwiedną:
to już to serce zasłużyło tyle,
ażeby więcej nie zapomnieć o niem.

* * *

Jedno jest tylko zbawienie na ziemi:
zatłumić w sobie dzikie ludzkie zwierzę,

za ideami lecieć słonecznemi
i zgłuszyć serca krzyk w wielkiej ofierze
i zapomniawszy swojej doli własnej,
niedolom cudzym być jak anioł jasny.

Śpiąca królewna.

Zasnęła... Z marzeń wygnano ją światów,
w duszy jej struny pozrywano śpiewne,
i przemieniła się królewna kwiatów
w śpiącą królewnę.

Dziś już nie pragnie być ludziom jak wiosna
promieniejąca, świetlista i wonna,
ani błękitnieć ziemi jak litosna
pragnie Madonna.

Dziś już nie pójdzie stawać ponad rzeką
i puszczać oczu na fal tonie szmerne,
aniby chciała lecieć gdzieś daleko
w cisze niezmierne.

Dziś nie wyciąga już ramion spragniona,
w jakiś się uścisk chyląca omdlałe;
z rumieńcem wstydu na wezbrane łona
nie patrzy fale.

Ani dziś dba już, czy jej oczy wzruszą,
czy uśmiech czyje rozkołysze myśli,
ni czy są ludzie, co całą swą duszą
przy niej zawiśli?...

Kwiaty jej marzeń powiedły wśród ludzi,
umilkła duszy jej muzyka śpiewna — —
nigdy już, nigdy więcej się nie zbudzi
śpiąca królewna.

Rycerz.

Jedzie, jedzie rycerz z dali,
młody rycerz w lśniącej stali,
a po hełmie laur mu pnie się,
dank i chwałę z pola niesie.

Jedzie, pyta: co się dzieje?
w domu niebył czas niemały.
»Rozpoczęły się turnieje,
mężę idą szukać chwały.

Wstali starsi, młodszy wstają,
w szranki idą całą zgrają,
idą w szranki z piersią wrzącą,
laury twoje sen im mącą.

Idą w szranki całą zgrają,
laury twoje sen im mącą,
ciebie tylko tam czekają,
hej rycerzu z zbroją lśniącą«.

Jedzie, jedzie rycerz z dali,
młody rycerz w lśniącej stali;
czerpiąc siłę z krwi i bólu,
dank i chwałę zdobył w polu.

Jedzie, wieje z hełmu kita,
orle skrzydła świecą w godle,
chrzęści zbroja, grzmi kopyto,
lecz się rycerz chwieje w siodle.

Stanął, szepce: »Przyjacielu,
zawodników widzę wielu,
niby z sobą walczą kopia,
ale we mnie oczy topią.

Ze mną, ze mną to na próbę
wyjechali tam do słupa
i te drzewce wzięli grube — —
a ja wiozę w sobie trupa.

Upiór patrzy w moje oczy,
świat mi cały kirem mroczy,
zimne ręce na mnie wkłada,
wyje za mną: biada! biada!

Co mi moc ma, chwała warta,
cóż, choć imię niesie grozę — —

na ramionach moich czarta,
w ciele mojem trupa wiozę.

Lecz na Boga! zanim runę,
jeszcze skrzeseń mieczem łunę,
jeszcze laury zerwę świeże
choćby na grób!... W bój, rycerze!...»

Psyche.

Psyche tajemna, smętna, zamyślona,
wyciąga ku mnie dziewicze ramiona
i twarz nademną pochyliwszy białą,
duchowi memu każe rzucić ciało
i z własnych żądź mych i pragnień pogrzebu,
z mogiły szalów mych i namiętności,
ku mistycznemu podnosi mię niebu,
jakbym już duchem odstawał od kości.

Młodości mojej purpury i łuny
w dym się zmieniają i w ciemne całuny...
Niejedno myśli wybujałe kwiecie
wiatr po rozłogach i topielach miecie...
Niejedna chęć ma, ach! niejedna prysła,
jak bańka szklanna, gdy na gład upadnie;
niejedna gwiazda nademną rozblęła,
w głuchych odmętach leży zgasła na dnie...

Ileż wiar moich i obłądów ile
we wspomnień żywej spoczywa mogile...

Wielkie kościoły, kędym klękał wprzódy,
 kłamstw okazały się pełne i złudy...
 Pustynia ruin wokoło się piętrzy,
 strzaskanych kolumn leżą całe zwały —
 posągi bogów o twarzy najświętszej
 strącone z podstaw w proch poupadały.

Jak czynią ludzie wielką trwogą zdjęci,
 zło myśli chciałem pogrześć w niepamięci,
 lecz ono było, jako wąż pod liśćmi —
 i nie wiedziałem w końcu, dokąd iść mi,
 w jakiej się ukryć niedostępnej twierdzy
 przed własnej myśli pościgiem zażartym?
 Gdzie obmyć ducha ze śniedzi i ze rdzy,
 by Blask odświecił i był Blasku wartym?

W bezdni upadku, w porywów bezkresie,
 byłem jak okręt, który burza niesie:
 jedna pod chmury wyrzuca go fala,
 druga w przepastną toń odmętów zwała...
 Czegom nie odczuł?!... Każdy atom duszy
 przez piekło swoje szedł, boleścią siny —
 i czułem w końcu, że się duch już kruszy
 i że nic nie mam dla życia — prócz śliny...

Aż niewzywana i niespodziewanie
 biała i czysta Psyche przy mnie stanie

i takie światy mi nowe ujawni,
 jakich śnić nawet nie zdołałbym dawniej;
 światy, gdzie wchodzić tylko ci są zdolni,
 co poświęcili swoje zmysły Myśli,
 których duch z ciała się więzów uwolni,
 choć jeszcze odeń są śmiercią zawiśli.

Jeśli przez moich namiętności zgliszczę,
 zbrudzoną duszą przelśnię i oczyszczę;
 jeśli człowieka w duchu moim zgniotę
 i ducha zmienię w wszechwładną istotę:
 królestwa swego mistyczne wrzęciadze
 naoścież wówczas otworzy mi Psyche,
 i wejdem w jasność, jak dziś w mroku błędzę,
 i ze skał grzmiących wejdem w łąki ciche.

W owej tajemnej, głębokiej wyżynie
 duch mój się w duchu wszechświata rozplynie,
 a razem w siebie jego bezmiar wchłonie,
 jak jedną tworzą toń dwie złane tonie.
 W ów świat podniósłszy się raz i wstąpiwszy,
 wzgardę czuć będę, kędy dziś się trwożę,
 i mrąc dla siebie, sobie będę żywszy,
 i gasząc płomień, będę patrzył w zorzę.

I mieć tam będę tryumf wyzwolenia
 ducha z pęt żądy, co go opierścienia;

tryumf najwyższy, kiedy mi poddanem
 będzie, co wprzód było moim panem;
 gdy ludzkie szały, jak sokół w kapturze,
 nie będą śmiały zrywać się do lotu
 i wszystkie zmysłów i umysłów burze
 jak dym rozwiany, znikną bez powrotu.

I blizki będę wyczuć i zrozumieć,
 jakim się biegiem toczy życia strumień;
 w jakie niebiosy z bagien i topielisk,
 dźwiga się bytu olbrzymi obelisk?
 I wiem, że wówczas będę mógł w wszechświecie
 znaleźć harmonię pełną i porządek,
 i ze spokojem patrzeć, jak się plecie
 nić na wrzecionie czas mierzących Prządek.

Bo ponad wszystkie i nowe i stare,
 znajdę tam głębszą: rezygnacji wiare;
 wiare poddania się najwyższej Woli,
 co się nad wszystkie inne aureoli,
 zkąd wszystkie inne biorą swój początek
 i moc pozorną, naprawdę bezwładną;
 gdzie wrócić muszą, podobne do łątek,
 co z wody wyszły i w wodę upadną.

Jeszcze czas nie jest, lecz mi Psyche biała
 na oczach duszy wiecznie będzie stała

i owa w dali, jak fata morgana,
 kraina ducha przez nią pokazana,
 już zapomnienia mgłą się nie powlecze,
 i zapalone mam gwiazdy przewodnie:
 zwyciężyć w duchu, co w nim jest człowiecze,
 i patrzeć śmierci w twarz wprost i pogodnie.

Grób poety.

(Ignoto mortuo).

Oto jest grób poety... W nieświęconej ziemi
i nie pod krzyżem leży... Na płycie grobowej
niema kwiatów... Nikt żadnej nie powiedział

[mowy,
wszyscy stali dokoła zmieszani i niemi
i odeszli czem prędzej, gdy grób zasypano —
został sam w ziemi z czarną, spiekłą w pier-
[siach raną.

Jak cicho teraz leży i w jakim spokoju
ten, co wprzód nie zaznał nic, prócz trosk
[i znoju,
prócz upokorzeń, wzgardy dla samego siebie,
gdy musiał żyć o ledwie nie żebrany chlebnie,
lub — a myśl sama o tem barwę z twarzy
[zdziera —
starać się zostać błaznem pana, lub bankiera.

Leży cicho... Już więcej nie przyjdzie ta jęzda
z szczękami trupiej głowy, co się zowie nędza,

już nie przyjdzie i marzeń mu więcej nie
[starga...

Leży cicho... Ostatnia wielka, straszna skarga
wyszła mu z ust wraz z jękiem, gdy drżący

[i błady
pocisnął cyngiel — padł strzał — zbiegły się
[sąsiady,
drzwi otwarli, a widząc trupa na podłodze,
cofali się ze wstrętem i żegnali w trwodze.

A tymczasem świetlana, z skrzydłami złotemi,
odchodziła poety dusza precz od ziemi
i podniosła się zwolna i kędyś w przestrzenie
wracała, z kąd przychodzi na ziemię natchnie-
[nie...

Wzdymaj się srebrnomodne nieskończone
[morze!
Wzdymaj się! ty mu zahucz, jak tryumfu
[dzwony!

Wzdymaj się, ty potęgo ogromna i dzika,
elemencie królewski i nieuskromiony!
Wzdymaj się! Gdy raz zerwał z szyi swej
[obrożę,
jego zwycięskiej śmierci to godna mu-
[zyka!...

Pieśń tryumfu mu zahucz! Oto już nic zgoła
wolnej, skrzydlatej duszy krępować nie zdoła...

W przestworzu od gwiazd skrzących i komet
[ognistem
lecieć będzie z błyskawic trzaskiem i prze-
[świstem...

Ile wysp złotych w słońcu, pieczar skrytych
[w bluszcze,
kwiatów, co wybuchają lawą z ziemi Wschodu;
gdzie jakich skał granity i gdzie jakie puszcze,
wszystkie zorze na toniach spiętrzonych od
[lodu,

wszystkich wulkanów ognie, wszystko, wszystko
[dla niej!

Wszystko! Niema granicy, kresu i przystani...
Wolna, jak mgła powietrzna na niezmiernem
[niebie,

lecieć będzie i wszystko, co niegdyś kochała,
ciszę, światło i przestrzeń, wszystko mieć dla
[siebie,

wydarta, wyzwolona z wstrętnych więzów ciała!

Oto przepastne wody tumanem się wznoszą
i wirem zakręcone piętrzą się w niebiosy — —
ha! z jakimż upojeniem i z jaką rozkoszą,
uchwyciwszy się wichrów płomiennych za

[włosy,
leci, topi się w głębiach, jako sokół w chmurze,
opada w dół i znów się porywa do góry,

aż wreszcie, rozszalała, jak gryf złotopióry,
z mórz na morza przelata, ściga grzmiące
[burze,
i kędyś, gdzie się szafir sennych wód kryształili,
rzuci się odpoczywać na srebrzystej fali...

Wzdymaj się srebrnomodre, nieskończone
[morze!
Wzdymaj się, pieśń radości mu szum, pieśń
[wesela!

Oto już ognia marzeń nic mu nie spopiela,
nic kaskad jego natchnień tamować nie może...
Oto już owe kształty, owe światła, tony,
co były jego duszą, jego krwią serdeczną,
nie będą, jako obłok wichrem rozpędzony,
pierzchać przed strasznym widmem życiowej
[niedoli —

oto już wszedł w tę ciszę i spokojność wie-
[czną,

gdzie nic więcej nie łamie, nic więcej nie boli.
Minęły już te noce, gdy przedziwne cienie
nad jego młodą głową splatały się w wieńce
i prosiły, składając jak do modłów ręce:
oto nas twe do ciebie przysłało natchnienie,
chcemy na świat! patrz, jakie piękne i tęczkowe,
daj nam, jak gwiazdom jasnym, nad twem czo-
[łem błysnąć,

daj nam ciało, daj duszę!... A on ścisnął głowę,
 co pękała w gorączce i pytał sam siebie:
 co jutro? lecz co jutro? czy z okna się cisnąć?
 czy żyć dalej o ledwie nie żebrany chlebie?
 dalej walczyć z tym losem, co kościaną ręką
 pochwyciwszy za gardło, pierś gniecie kolanem,
 i jak upiór się poić zda ofiary męką,
 unicestwioną siłą i życiem złamanem?
 dalej za nędznej strawy kęs uginać karku,
 zapierać się swej duszy, pragnień, woli, wiary,
 myśl swą, krew swą przemieniać w towar na

[jarmarku,
 szukać kupca i ducha przykrawać do miary?
 dalej z niebowstępnego cisz i wyżyn lotu,
 opadać ku ziemskiemu gwarowi i błotu,
 gardząc własną słabością i dolą ofiary?

Niech mogiłę samotną w nieświęconej ziemi
 tłum prawowierny mija z obawą i wstrętem:
 kto się życia rękoma pozbawia własnymi,
 tego duch potępiony, imię jest przeklętem.
 Mówią, że czasem sokół, zamknięty do klatki
 próbuje stargać druty, aż gdy skrzydła skrwawi,
 pierś porani i siły wyczerpie ostatki:
 oszalały, z rozpaczy głodem się zamarza...
 Ludzie spokojni, trzeźwi, rozsądni, i prawi,
 unikajcie głuchego wyklętych cmentarza.

Złoty ptak.

Rwij pęta wicherze halny! W chmur kurzu
 [i dymie
 rozpostrzej na sklep nieba swe skrzydła ol-
 [brzymie!

Rwij pęta wicherze halny! Skrusz ziemi fun-
 [dament,
 wydrzej ją z wiecznej drogi i szalonym rzutem
 ciśnij ją w wir żywiołów, w pęt mgławic
 [i zamęt,
 choćby z mózgiem strzaskanym i sercem wy-
 [prutem!

Rwij pęta wicherze halny! Łam twarde granity,
 gruhoz w pył śmigłe lasy, piętrz siklawy
 [w górę,
 wzdymaj się! aż pod nieba samego sklep
 [wzbity,
 w gryfi szpon chwycisz słońce wielkie i po-
 [nure
 i wiecznego obrotu druzgocąc mu osie,
 pogrążysz je w skłębionych odmętów chaosie!...

Patrz! Jakiś ptak potężny ponad bór wylata,
 roztoczył złote pióra na śniegu kurzawę —
 patrz, jaka barwa skrzydeł świetna i bogata,
 tylko piersi ma krwawe, krwią dymiącą

[krwawe...

On na dół nie spogląda — coraz wyżej leci,
 zawisł w śniegowej chmurze, zawisł nad

[chmurami,

już kędyś blisko słońca złotem skrzydłem

[świeci,

a krew cieknie mu z piersi i tu ziemię plami...

On na dół nie spogląda; dumny i zuchwały
 wzbija się coraz wyżej, snadź uciec od ziemi
 i przepaść pragnie kędyś pośród chmur nawały,
 i tylko zdala błyszczy skrzydłami złotymi...

A krople krwi, co cieką z jego piersi rannej,
 padają, przeraźliwy deszcz i nieustanny...

O jasne mórz lazury, o wy srebrnopiane
 fale, słodką muzyką wiatru kołysane;
 o wyspy i wybrzeża pełne kwietnych zacisz,
 pełne gajów oliwnych i różanych szmerów;
 o słońce, co świat życiem przebudnem bogacisz,
 zielenią strojąc ściany wygasłych kraterów;
 cudny śnie wyobraźni, widzenie natchnione,
 błękitnych słów, liljowych tonów harfo złota,
 miejsce ciszy, pokoju, melodyi świetlanej,

harmonii, co modrą niebiosów oponeę
 i modre w jeden błękit zlewa oceany;
 o źródłana oazo pustyni żywota:
 oto tam, na granitach, w chmur ciemnej

[żałobie,

w martwej, śródskalnej ciszy, daleko, daleko,
 złoty ptak, lodem bity, zmarzły, śni o tobie,
 a krople krwi mu z piersi na śnieg biały cieką.

Nad morzem.

Smutek i martwość upadły na duszę —
i oto błękit ów jasny i czysty,
i morza lazur złoty i świetlisty,
i róż girlandy i palm pióropusze,
i słońce, blasków kaskadą rozrzutne:
wszystko tak martwe stało się, tak smutne.

Więc jasność owa, pogoda i radość,
wszystko w człowieczej duszy ma początek,
i trzeba strzec się swych własnych pamiątek,
aby nie oblec świata w kir i bladeść,
i trzeba kryć się przed swą myślą własną,
gdym od niej słońca ciemnieją i gasną...

II.

O morze! oto do twej głuchej fali,
goryczą własnych myśli nieszczęśliwa,
ziemią znękana, bez ostoi w niebie:
rzuca się dusza, by uciec od siebie,

i, jak łódź wichrem pędzona, odpływa
dalej i dalej, w bezbrzeż, coraz dalej...

Dalej i dalej... Już, zda się, zatracą
pamięć swej kłęski, swoich win i kary,
i gdy poza nią skraje lądu znikły,
siedziby swojej zapomina zwykłej —
płynie — aż ujrzy, że płynąc w bezmiary
tam, zkąd uciekła, niezmiennie powraca...

Orzeł.

Spłynął wolno przez ciche powietrzne ogromy,
usiadł na skale, złożył skrzydła ciemno-płowe,
piers odął, dziób podnosząc wcisnął w barki

[głowe,
i siedział zadumany, wielki, nieruchomy.

Patrzył w dół, świat mu w okrąg legł u stóp
[widomy — —

patrzył, a jego oczy w skrach błyskawici-
[cove,

treść całej orlej duszy miały i wymowę:
patrzył spokojny, zimny na świata poziomy.

Tam — mógłby wulkan ziemię w nic obrócić
[całą,

jemu-by jedno pióro w skrzydłach nie za-
[drgało — —

i wiesz ty, wichroskrzydły, podświetlony ptaku,

siedzący tam bez ruchu na tej skale twardej,
czegoż więcej zazdrościsz, niż twych lotów
[szlaku?

Oto prawa do zimnej, spokojnej pogardy!

Vogue la galère!

Vogue la galère! Niech płynie łódź
przez jakie chce odmęty — —
gnijące wody pruć, to pruć!
Vogue la galère! Do dyabła wiosła,
na bagna z wiosłem fala zniosła,
więc precz!... I ster pęknięty?!
Vogue la galère! Niech płynie łódź!

Vogue la galère! Niech płynie łódź,
niech tonie — mała szkoda...
Cóż, choć kto woła z brzegu: wróć!...
Vogue la galère! Ha, żagiel pęka —
widocznie lina była cieńka,
lub zbyt napięta... Huczy woda...
Vogue la galère! Niech płynie łódź!

Vogue la galère! Niech płynie łódź,
niech grzęźnie po szczyt rei!
Tonący błotem będziemy pluć!

Vogue la galère!... A tam, w oddali,
sto łodzi mknie po modrej fali,
sto świeci im nadziei...
Vogue la galère! Niech płynie łódź...

Vogue la galère! Niech płynie łódź!
Kto winien? Czyż są winni?
Jeżeli chcesz, kamieniem rzuć —
Vogue la galère!... Lecz wyżej świeci
flaga, niż kamień twój doleci...
A zresztą cóż? Wszak będą inni...
Vogue la galère! Niech płynie łódź!

»Cogito, ergo sum«.

Jak się zwierciadło w życiu przydać może,
na moim własnym pokażę wam wzorze.
Były raz chrzciny. Przyszło mnóstwo państwa,
szlachty, mieszczaństwa,
panie pełne godności, panowie powagi,
młodzież miała pozycye, dziewice posagi,
wszyscy pięknie mieszkali, przyzwoicie żyli,
w lecie jeździli do wód, w zimie się bawili,
panie się z hrabinami stykały na kweście,
panom się odkłaniali prezesi na mieście,
słowem, była kompania wielce znamienita,
o mało że nie elita.
Czułem się tam tak zmiążdżony,
przygnieciony, znicestwiony,
taki nikły, taki cieńki,
taki drobny, tak maleńki,
w nos tym broszom i krawatom
taki pyłek, taki atom:
że pod litościwemi tych panów oczyma

i pań pełnym ironii pobłażliwej gestem,
pewnym był, że naprawdę wcale mnie już
[niema...
Wtem patrzę: lustro... Z szczęścia zadrzała
[mi dusza!
O boskie, o wybawcze słowa Kartezyusza!
Myszę, to nic! lecz widzę się w lustrze, więc
[jestem!

IV

GRA SŁÓW

I.

Kochałem ciebie... Zła dola nad nami
od pierwszej chwili twarz jawiła ciemną;
odszedłem — twemi pożegnany łzami
nad wszystkim w świecie, tylko nie nademną.

Odszedłem... Świat się cały nie zawalił,
ani runęły pod nim rusztowania,
tylkom u progu twojego zostawił
całe pragnienie i miłość kochania.

II.

Mów do mnie jeszcze... Z oddali, z oddali
głos twój mi płynie na powietrznej fali,
jak kwiatem, każdym słowem twem się pie-
[szczę...

Mów do mnie jeszcze...

Mów do mnie jeszcze... Te płynące ku mnie
słowa są jakby modlitwą przy trumnie
i w sercu śmierci wywołują dreszcze —
mów do mnie jeszcze...

III.

Przychodzisz do mnie noc po nocy,
śniesz mi się długo i boleśnie — —
patrzę w twe oczy, a twe oczy
są jak dwa zimne światła z lodu.

Wyciągam ręce do twych dłoni:
twe dłonie są jak ostre noże;
chwytam twe małe drogie stopy:
twe stopy są jak ostre ciernie.

I budzę się od krwi na rękach,
na dzień się budzę długi, smutny — —
przychodzisz do mnie noc po nocy
śnić mi się długo i boleśnie.

V
POUR PASSER LE TEMPS
OKTAWA

Nigdy mu ramion pierwsza nie otwarła,
choć się łaskawie obejmować dała;
nigdy, gdy szepnął z ciśniętego gardła
»kocham« — nie rzekła nic, tylko słuchała.
Jemu się z bólu dusza w sztuki darła,
bo nic w niej znaleźć nie mógł oprócz ciała,
i to, co pomnieć musiał nieustannie,
o ile szukać wypadalo w pannie.

Albowiem panną była, a za wiano,
prócz dwóch wsi, miała urodę Dyany.
Młodzież w niej cała była zakochana,
wszystkie jej również nie cierpiały panny.
Rodziców dawno w grobie pochowano,
w klasztorze wiek swój przeżyła poranny,
gdzie się, w sekrecie przed swą przełożoną,
najczęściej w żonę i męża bawiono.

Potem, gdy suknię już zrzuciła krótką,
gdy się jej wiosna zaczęła siedmnasta,
w Warszawie z ciotką mieszkała rozwódka
i poznawała obyczaje miasta.

Była »naiwną« trochę i »filutką«,
 lubiła jeszcze bardzo szczerze ciasta — —
 tymczasem, jak jest powszechnie przyjętem,
 posag jej gdzieś się zapodział ze szczętem.

Mówią, że jej opiekun kamienicę
 i wioskę kupił gdzieś około Bałty...
 Zwyczajna potwarz. Śliczną siostrzenicę
 mając u siebie, ciotka jęła rauty
 i bale dawać, różne tajemnice
 toaletowe kłaść na różne kształty,
 myśląc, i słusznie, że z jednego różna
 często pieczenie dwie zdjęć naraz można.

Miała trzydzieści pięć lat i Wilhelma
 Kufkego — był to z zawodu piwowar —
 na oku; wprawdzie »jak but była szelma«,
 lecz sto tysięcy czysto niósł mu browar.
 Eheu! Jak często człowiek próżny cel ma!
 Kufke był kupcem i wiedział co towar,
 a co tandeta — — oświadczył się wkrótce,
 lecz siostrzenicy, nie ciotce-rozwódce.

Przyjęła... Próżno do nóg jej się ciskał
 kochanek — — miał wieś, ale tylko jedną...
 Prócz plam na spodniach, nic więcej nie zyskał;
 widział, że nawet lica jej nie bledną,

gdy jemu w sztuki mózg pod czaszką pryskał
 i gdy rękami cisnął głowę biedną...
 Więc zrozpaczony poszedł precz, a ona
 dostała swą rubrykę: Kufke-żona.

Po tym wypadku on zerwał ze światem
 i cały chłopom oddał się u siebie.
 Był im i ojcem zarazem i bratem,
 bronił ich, karmił na swym własnym chlebie —
 za to psu jego chłopi oczy batem
 wybili, potem ukradli mu żrebię —
 (psu, bo szedł drogą; żrebię, bo się dało) —
 wreszcie spalili mu krescencyę całą.

To zniechęciło go i osiadł w mieście,
 gdzie z artystami żył, bo lubił sztukę.
 Jednego, rubli mu na miesiąc dwieście
 dając, wyprawił do Włoch na naukę.
 Lecz nagle z banku pewnego w Tryeście
 dano mu słodką do wypłat prynukę,
 każąc zapłacić przez pozwy naglące
 na sfałszowany podpis dwa tysiące.

To go zmieszało tak, że horoskopów
 już nie pytając żadnych, co mu radzą:
 wyrzekł się swojskich panien, sztuk i chłopów,
 okno idei zasmarował sadzą,

jeszcze raz złotu przypatrzył się snopów,
jeszcze raz spojrzął, jak kartofle sadzą
i z swem ojczystem rozstawszy się polem,
zakupił willę gdzieś pod Neapolem.

Tę willę wielkim otoczył parkanem,
parkan zaś cały oplótł żywopłotem;
wewnątrz park kwieciami ustroił różanem,
pąsem kaktusów i pomarańcz złotem;
postawił namiot pod chłodnym platanem,
zawiesił miękki hamak pod namiotem,
i wodzie w lilije ubrawszy krawędzie,
flamingi na nią puścił i łabędzie.

W alejach parku, w cyprysowych cieniach,
rozstawił białe boginie kamienne;
na okwieconych stały podniesieniach
prześliczne, nagie, nieruchome, senne...
Srebrzyste w srebrnych księżycu promieniach,
w promiennej słońca jasności promienne,
na tle drzew ciemnych bieliły się cudnie
blade wśród nocy, świetlane w południe.

Z parku miał widok na morza błękity,
na ściany Capri, co się lśniły i białą,
na Wezuwiusza płomieniste kity,
na w mgłach różanych widny Sant'Angelo — —

widok miał bardzo piękny i odkryty,
i nieraz siedząc nad morską topielą
cieszył się, patrząc na przejrzysty lazur,
że żaden w parku tym nie bywa Mazur.

Miał także własną łódkę, którą czasem
płynął na morze, kiedy woda gładka
była tęczami świecącym atłasem.
Zawsze mew za nim leciała gromadka,
którym jeść rzucał, i nad wodą pasem
krążyły śnieżnym, że Łódź jako chatka
zdała się polska pod gołębi sznurem,
jak łąk zielenią, oblana lazurem.

Tam na wznak leżąc ku niebu oczyma
nieraz dni całe przepędzał samotnie,
myśląc, że przeszło lato, przyjdzie zima,
albo też myśląc to samo odwrotnie.
Myślał, że czego braknie, tego niema,
że tysiąc razy znaczy tysiącrotnie,
że fasolowy sos robi się z fasol
i że od deszczu ochrania parasol.

Czasem też bawił się wspomnień zabawą,
niejedną złotą- znał i czarno-brewą — —
z tych jedna miała pierś lewą i prawą,
a druga miała pierś prawą i lewą...

Tą przeżuwaną znudzwszy się strawą
patrzył bezmyślnie za skrzydlatą mewą,
albo na nieba patrzył błękit czysty,
albo na spinek swoich ametysty.

A czasem leżąc w łodzi, mimowoli
wracał pamięcią w swoje dawne strony,
do swoich łąków i do swych topoli,
do swoich wiklin — i do Kufke-żony,
która tymczasem Kufkemu kark woli
obejmowała białemi ramiony...
Tak sądził, chwiejną kołysany łódka,
nie wiedząc, że to trwało bardzo krótko...

I wyciągały mu się ku niej ręce
i pierś pękała z żalu i tęsknoty...
Widział jej usta krasne i dziewczęce
i szafir oczu raz srebrny, raz złoty...
Widział jej blade, przejrzyste rumieńce,
półciemnych włosów miękkie, bujne sploty,
i urokami czarujące łono — —
i wkoło wodę pustą, nieskończoną...

Ogromną wodę, po której okręty
szły, białym żaglem świecąc się pod słońce;
przestwór niezmierny i nieogarnięty,
gdzie dusze smutne, błędne i tęskniące,

jako mar poczet włóczę się zakłęty
i bóle swoje i skargi palące
topią w bezdennej głuszy i otchłani,
idąc, jak ludzie z ojczyzny wygnani...

Pani Kufkowa wiedziała najpewniej,
że jest kochaną wciąż i bez pamięci
z wszystkim, co dobre i wszystkim, co złe
[w niej,
nawet myślała o tem nie bez chęci,
sądząc, że wielce się przez to »królowni«,
»anielkowuje«, podnosi i święci,
i że z Henrykiem, co gdzieś dla niej kona,
jest ponad wiele kobiet — wyróżniona.

W jej biórku leżał list. Miał z Bazylei
pieczęć, pisany być musiał w wagonie.
List ten brzmiał: »Pani! Więc reszta nadziei
jak kamień w wodzie niezgłębionej tonie?!
Więc tak?! Huczące wśród śnieżnej zawiei
Alpy mi zdają walić się na skronie — —
Więc tak?!... Napróznom serce wydarł z piersi
i do nóg cisnął ci... Lecz czyż my pierwsi?...

I tylko nie wiem czemu w mojej duszy
jest ból, jak gdyby pierwszy ból na ziemi?
Czemu to serce tak się rwie i kruszy,
jakby wszystkimi mękami ludzkimi

cierpiało we mnie... Czemu tej katuszy
we mnie zwyczajna ta myśl nie oniemi,
że serca mrą z boleści, lecz powoli,
zapominają o tem, co je boli?

Tylko w nich smutek pozostaje cichy
i dziwna smętność marzeń — — bo ja to wiem,
lecz dziś jest we mnie bunt i piekło pychy,
i żal, serdeczny żal... Ach! niewypowiem
ile jest we mnie żalu... Ot jak lichy
robak ci do nóg pełzłem — — życiem, zdrowiem,
krwią, mózgiem, sercem byłbym o twe szczęście
walczył... wolałaś z bogatszym zameźcie...

Ja sam już nawet nie wiem dobrze, kto to
bezmilosiernie z mych rąk cię wyrывa?
Nic nie wiem, czuję tylko, że mię gniotą,
że jakaś krzywda mię łamie straszliwa,
że mi się serce bólem i tęsknotą
rwie, że z mych piersi krew ucieka żywa,
że... sam już nie wiem co piszę... pod czołem
wszystko mi nagle stało się popiołem.

Zrobiłaś duszę mą jedną ruiną
pełną strzaskanych kolumn, gruzu, łomu,
najświętszy ołtarz mój oplwałaś śliną,
z kraju wyгнаłaś mnie i z mego domu — —

wszystkie me czucia, wiedz, przez ciebie giną,
nie znam już prawdy, nie znam wstydu, stromu,
nie wiem, co żadne święte słowo znaczy,
nie znam na świecie nic — oprócz rozpaczy...

Jak pies u nóg twych chciałem leżeć, stopy
całować twoje i jeszcze to sobie
mieć za raj szczęścia... Dziś — — pół Europy
dzieli nas... O ty!... Wszakżem twoje obie
ręce na szyi miał... Jak światła snopy
na łąkę lecą o porannej dobie:
tak mi z twych oczu szedł blask w głębię
[ducha...

Dziś co?... Ta pustka Alp dokoła głucha...

Pamiętasz? Nie raz to i nie dwa razy
mdlałaś w ramionach moich, o Irenko,
niezrozumiała mi szepcząc wyrazy
i włosy moje płacząc drżącą ręką...
Chciałażeś tylko zmysłowej ekstazy?
Upojeń? Szału? Tak?... Ach! jeszcze miękka
twa kibić czuję tu, na mojem ręku,
przeiętą, w włosów rozsypanych pęku...

I czuję ciepło twego ciała jeszcze,
ciepło twych westchnień i spojrzeń, o droga!
Jeszcze na rękach cię tu mam i pieścicę,
pieścicę, całuję... Na żywego Boga!

Jak ból to serce w rozpalone kleszcze
 chwytą: jak burza grzmi po Alpach sroga,
 jak się te góry po jeziorach dwoją:
 tak ci przysięgam dziś, że będziesz moją!...»

Ten list rok leżał u pani Kufkowej
 w biurku; przez ten czas Henryk na wsi ba-
 potem wyjechał, zaś ona miodowy [wił,
 czas przepędzała w Nizy, gdzie się pławił
 pan Kufke w morzu i kwiatach. W okowy
 Amor go srogie wzięła i srodze dławił,
 bo wśród akacyj chodząc i wśród bluszczu,
 pan Kufke stracił dziesięć funtów tłuszczu.

A żona nie utyla... Rok upływa,
 pani Irena jest zawsze powiewna.
 Mówią, że trochę ma wstrętu do — — piwa...
 Mówią — — lecz rzecz to nie jest wcale pe-
 [wna...

Ludzka złośliwość jest taka złośliwa...
 Dość, że po świecie chodzi jak królowna,
 a przy niej, kufa z piwem przy kolumnie,
 jej mąż, pan Kufke, poważnie i dumnie.

(Miał sto tysięcy rocznie). Nieczytany
 list leżał w biurku; lecz raz gdy na balet
 mąż poszedł, ona swej garderobianej
 chcąc wybrać jedną ze starych toalet,

w swym buduarze, w którym wszystkie ściany
 świecą tęczami wachlarzów i palet,
 otwarła biórko, gdzie kluczyki kładzie,
 i list przypadkiem spostrzegła w szufladzie.

Wzięła i zbladła trochę i z powrotem
 chciała położyć — wyjęła z koperty
 i ją czytać te słowa z łoskotem
 wielkim pisane, bez logiki, per ty.
 Zarumieniła się, znów zbladła, potem
 zgarnawszy nowych »Mód paryzkich« sterty,
 usiadła na fotelu z listem w rękę,
 przegięta, w włosów rozsypanych pęku.

Siedziała długo, w tył schyliła głowę,
 list na kolana padł, ręce jej zwisły;
 przez twarz jej bladą szły ognie pasowe,
 i pierś wznosiła się w sukni obcisłej.
 Dreszcze ją jakieś wstrząsały nerwowe
 i w oczach jakby dwie wielkie łzy błysły — —
 przycięła usta i nogę na nogę
 kładąc, westchnęła... List spadł na podłogę.

Siedziała długo. Wtem ozwał się dzwonek — —
 drgnęła, wydeła usta marszcząc czoło
 i list włożyła między stos koronek.
 Mąż wrócił. Wyszła z twarzą niewesołą,

siadła do stołu i biorąc za trzonek widelca, naprzód przyjrzała się wkoło ścianom, obrazom, zwierciadłu, papudze, a potem rzekła z wolna: »Ja się nudzę«.

»Nudzisz się żonko?! Mieć takie pokoje! Nikt niema mebli ładniejszych w Warszawie! Nudzisz się?!« »Nudzę«. »Chcesz, to, serce nowe obicie do salonu sprawię?« [moje, »Nie«. »No to może pojedziem oboje naprzykład do Berlina? Nie? To wstawię w twoją rubrykę — — nie? To nie mam — [słów już!
Cóż chcesz?« »Chcę widzieć Baję i Wezu- [wiesz«.

»Baje? Lecz baja jest dawno niemodną, nikt już nie nosi bai i — —« Z pod oka patrząc, Irena rzekła na to chłodno:
»Baje, to mężu jest morska zatoka, nie sukno; chcę tam brać kurację wodną. A zaś Wezuwiusz to góra wysoka, wulkan, nad Neapolem. Pojedziemy?«
Mąż skinął głową czerwony i niemy.

Tymczasem Henryk znudził się w swej willi i na operę poszedł: grano Mignon.

Wtem, gdy w antrakcie widze brawo bili łaskawą darząc artystów opinią, spojrział do góry — i w tejże go chwili dreszcz przebiegł: ujrzał za jakąś Wirginią rzymską, cud — — chyba poszła na paradyz Eunice — (czytał był właśnie Quo vadis).

Jak się zapoznał z niemi, mniejsza o to; dość, że niedługo cudny skarb dziewczęcy nabył od matki gotówką za złoto, dając w ludwikach franków pięć tysięcy. Dziewczyna poszła do willi z ochotą, był to zaiste dla niej los książęcy, a nadto matka ze stryjem Briganti chcieli ją sprzedać w »Casa Fioravanti«.

Viola poszła z domu z obcym panem w brudnej sukience, w podartej koszuli; tam wszystko było już przygotowanem, kąpiel jej dali, odziali, obuli; dali jej pokój zaślany dywanem, mnóstwo batystów, koronek i tiuli, kilka zwierciadeł, kanapę z poduszką, dwa kandelabry i francuzkie łóżko.

Jedno zwierciadło miała z lewej strony, drugie po prawej, trzecie u sufitu.

Tapicer nawet był tem zachwycony
i w sufit haki bił pełen zachwytu.
Miała też ganek na morze rzucony,
na wodę z różu, srebra i błękitu,
cichą, głęboką, pustą i niezmierną,
i w szafie asti, szampan i falerno.

Było w południe. Siedzieli oboje
w parku nad morzem. Jej płynęły z głowy
złotawych włosów wite w loki zwoje
na smukłych ramion kształt alabastrowy.
Nosila w domu na pół greckie stroje,
które jej wdzięki kryły do połowy,
i teraz, w białej tuniki rozcięciu,
widać jej było białe biodro w zgięciu.

Na morze oczy obróciła duże,
łagodne, smętne, czyste oczy Psyche,
i wodząc niemi po złotym lazurze
miała w nich morza uspiętego cichy
błękitny uśmiech. W drobnej dłoni różę
trzymała, wielkie wędnące kielichy,
co miały w blasku wędnących szkarłatów
ten dziwny smutek konających kwiatów.

W białej tunice, w wianku róż na głowie,
z różami w dłoni, cicha, zamyślona,

była, jak Nimfy gdzieś w greckiej dąbrowie
zrodzone z baśni. A fala złocona
jej białe stopy brała za wezglowie,
lub zawisała perłą u jej łona,
albo na różę i włos rozwinięty,
wielkie i jasne siała dyamenty.

Henryk ramieniem otoczył jej szyję,
lubieżną szyję marzącej Charyty,
i czuł jak serce u dziewczyny bije
w piersi okrągłej, pełnej, półodkrytej.
Ile się żaru pod tą piersią kryje
wiedział i wiedział jak jej ócz błękity
mdleją z pod powiek, gdy na pół zemdlona
w tył się przechyla otwarłszy ramiona.

Przed nimi morze grało zmienną tęczę
przesrebrzanego w lazur fioleto,
pokryte gazą oparu pajęczą,
co od w łuk giętych gór modrego grzbietu,
hen, ponad siną zatoki obręczą,
wisiła drżąca, jakby dźwiękiem fletu
kędys wśród laurów ukrytego Pana
w błękitne rytmy sennie kołysana.

Siedzieli cicho, wsłuchani w milczenie
odległych pustek, w bezmiar wód wpatrzeni,

samotni, cisi, bez ruchu, dwa cienie
 wyszłe z cyprysów tajemnej zieleni.
 Tylko swe zgodne jednotonne tchnienie
 słyszeli wzajem do się przytuleni.
 Tej chwili Henryk z nad róży kielicha:
 »Verweile doch, du bist so schoen!...« rzekł
 [z cicha.

»Verweile doch!...« Poza nim cmentarz życia,
 powiędłe myśli, albo wbite w błoto,
 wszystko stracone i nic do zdobycia
 i serce prózną stargane tęsknotą...
 Przed nim?... Z przyszłości ciemnego ukrycia
 jutro — twarz bladą śmertelną martwością
 wychyla, widmo straszne, i pokutne,
 trwogę niosąc i jak trumna smutne.

»Verweile doch!...« Bo oto wczesna idzie
 starość i nędza ciała, co trupieje;
 starość, w swej całej grozie i ohydzie,
 starość, co lodem przerażenia wieje,
 starość, kąpana w fizycznym bezwstydzie,
 wstrętna, okropna; starość, która leje
 na nędzne ciało ludzkie kubeł kału
 i robi zgniłe próchno z »ideału«.

Starość, co łamie, druzgoce i depce,
 starość, co nurzy w szpetności po uszy,

starość, co żywą krew po kropli chłepce,
 starość, co serce zabija, mózg suszy,
 starość, co pierwsza nad dzieckiem w kolebce
 staje i krokiem się odeń nie ruszy
 i jak śmierć za niem bezustannie chodzi — —
 wybrańcy bogów umierają młodzi.

»Verweile doch!...« Daremnie... Przeszła chwila,
 przeszła i więcej nigdy nie powróci,
 nigdy już więcej... Czuł, że się pochyla
 w nim coś ku ziemi, zasępia i smuci.
 Czar znikł, jak lotnych obłoków flotylla,
 gdy je po morzu w nicosć wiatr rozrzuci.
 Zrozumiał, że w tej chwili do zenitu
 doszło u niego uczucie dosytu.

Zrozumiał, że już więcej tu na ziemi
 wydobyć nic już nie zdoła z użycia,
 zanim go starość z szczękami trupiemi
 chwyci, z ciemnego wypęzła ukrycia.
 Tu, nad wodami siedząc błękitnemi,
 swą najpiękniejszą miał godzinę życia,
 pośród natury, jak cud, przy kobiecie
 jak wybujające w słońcu polne kwiecie...

I wolnym ruchem wyjął z kamizelki
 paperek, w którym nosił cyankali;

spojrzał — — na rękę miał zwitek nie-
 [wielki — —
 wzdrygnął się — — po tem już nic nie
 [ocali —
 jednak czy warto żyć bez żądzы wszelkiej,
 bez pragnień, złudzeń, nadziei?... W oddali
 zobaczył nagle w parku, wśród topoli,
 panią Irenę idącą powoli.

Pani Irena szła, a Henryk wstawał
 nie będąc pewny, czy widzi na jawie,
 czy też złudzenie go bierze na kawał
 i ambetuje, jak mówią w Warszawie.
 Ona! Tak, ona! Czyżby nie poznawał?!
 Ta sama gibkość i smukłość w postawie,
 te same ruchy, rysy... Święte bogi!
 Irena! Ona!... Zerwał się na nogi.

Wraz z nim zerwała się z ławki Viola,
 która dotychczas patrzyła na morze.
 Stała smukła, gibka jak topola,
 a na twarz wyszły jej rumieńców róże —
 zażenowała ją szatek swawola,
 które wiatr lekki podnosił ku górze,
 więc się ogarnia rączkami, pół dzika,
 pół przestraszona patrząc na Henryka.

Pani Irena stała blada cała —
 w jej oczach tysiąc zaświeciło błysków,
 zda się, że nagle na gładz skamieniała
 i była, jak statua z wodotrysków,
 albo monument... List, który trzymała
 w rękę, od palców kurczowych uścisków
 zwinął się w biały, pomięty papilot —
 a usta były jej, jak działa wylot

dopóki lontu kanonier nie zniży...
 Straszliwy otwór... W tem krew jej na lice
 buchnęła, o krok jeszcze przysła bliżej
 i na Henryka oczów błyskawice
 zwracając, oczów, jak sierć kolcozwiędzy,
 list odrzuciła precz na fal śnieżycy
 i lady Makbet ruch z trzeciego aktu
 czyniąc, przez zęby rzekła: »To pan tak tu?!...

To, gdy ja myślę, że pan schnie z żałoby
 i o mnie tylko myśli, za mną jęczy,
 pan tu z dziewczyną włoską?!... Boże! Ktoby
 pomyślał?!... To ja!... A pan tu się wdzięczy
 do jakiejś Włoszki! Ja!... Nie! To wartoby
 w powieść!... Ja myślę, że on się tu męczy,
 że on tu kona od przeszło dwunastu
 miesięcy — — a on tu... non! ça surpasse tout!

Ha! to zaiste godne pana, w taki
 ubliżyć sposób bezbronnej kobiecie!
 Poznaję pana — — zawsześ pan jednaki —
 nic się nie zmienia widać na tym świecie!
 Poznałabym cię wszędzie — ach! te krzaki!
 Jeszcze się podrę gdzie — postępujecie
 zawsze jednako z nami — po tym kroku
 pana poznałabym w największym tłoku!

Lecz teraz kwita z nami! Już na wieki!
 Słyszysz pan? C'est fini — fini à jamais!
 Je ne veux plus vous voir! Où suis-je? Chez
 [qui?]

W jakąż rozpusty straszną wpadłam jamę!
 Wyprowadź mię pan ztąd! Ja bez opieki!
 Mój mąż, ten bałw... to jest... Przez taką damę!
 Przez taką... tak się dać skompromitować!
 Non! C'est trop! Zaraz pan mnie ztąd wy-
 [prowadź!]

Albo... ah! ah! ah!...« — krzyknęła i padła
 prosto ku Henrykowi — ledwo złapał —
 Viola na to patrzyła pobladła,
 a deszcz jej cichych kropel z sukni kapał,
 wreszcie spytała czyby prześcieradła
 nie przynieść, widząc że Henryk już sapał,
 i położywszy tę signorę na niem
 zanieść ją do pokoju przed skonaniem?

Henryk powoli przytomniał — — na rękach
 miał swoją dawną, kochaną, straconą,
 dawną Irenkę o tych samych wdziękach,
 które mu duszę czyniły szaloną;
 włosy, jej znowu rozsunęły się w pękach,
 gdy przewiesiła w tył głowę zemdloną,
 z pod gorsu piersi wyjrzały z ostrożną,
 wstydliwie, jakby pytając: czy można?..

Na ręką! czuł ją swych całą zwieszoną,
 czuł ciepło ciała jej i jej oddechu,
 przy piersi czuł jej falujące łono,
 czuł krew tętniącą w jej żyłach w pośpiechu,
 czuł swoją dawną, kochaną, straconą —
 a ona zwolna w smętnym półśmieszu
 pół powiek wzniesie i pół ust rozchyli
 zbladłych, podobnych pół rozwartej lilii —

i patrzy... Wszystko pierzchło mu z przed oczu,
 cierpienia, męka, gniew i wszystko potem —
 zanurzył palce w jej gęstym warkoczku,
 co się pod słońca światło błyszczał złotem,
 schylił twarz — — w oczu jej mglistem prze-
 [zroczu
 zadrgało światło — — nagle rąk mu splotem
 objęła szyję — — i czoło im z czołem,
 usta z ustami spożyły się społem...

Jak długo trwał ten czar — — któż takie chwile
liczy — — lecz nawet Henryk uczuł życie...

On, co przed chwilą chciał się skryć w mogile
przed nudą: tonął, jak chłopak, w zachwycie,
jak chłopak, gdy już poczuł się na sile
schwycić dziewczynę w pól w owsie, lub

[życie,

i w tył przegiąwszy nieledwie ku ziemi,
spoił jej usta z ustami swojemi.

O gdyby chwila pierwszego objęcia
mogła być wieczną!... Któż tego niepomni?
Te tajemnicze, te nieznanne wgięcia,
te skryte czary kształtów... Któż zapomni?
Pierwsze zbliżenie ust do ust dziewczęcia,
co oszaleni i unieprzytomni,
pierwsza płomienna rozkosz nocą późną...

»verweile doch! du bist so schoen!«... Na-
[próżno...

VI

FANTAZJA LIRYCZNA

Pieśń Wenecka.

Od morza wiatr i mgły i chłód —
gondola mknąc kanałem
kołysze się raz w tył, raz wprzód,
jak dziewczęę gibkiem ciałem.

Łabędzi metalowy dziób
podnosi w górę dumnie
i mknie przez cichą głęb jak grób,
podobna czarnej trumnie.

Pałaców marmurowy rząd
ma w sobie sen cmentarzy;
półmartwej wody senny prąd
u progów ich się waży.

Na Anioł Pański biją z wież
rozległe, pełne dzwony —
niech będzie światu wzdłuż i wszerz
pokój błogosławiony...

Niech będzie światu wszerek i wzdłuż
anielskie pozdrowienie,
od ziem do ziem, od mórz do mórz
sen dobry i spocznienie...

Niech się osuszają wszelkie łzy,
ból każdy niech się stłumi — —
z Adryatyku lecą mgły
i wichery głucho szumi.

Z Adryatyku leci szum,
wzburzonych fal pieśń dzika —
na placu Marka ludzi tłum,
wesoło gra muzyka.

Ile tam ócz i ust i łon — —
hej, gondolierze, żwawiej!
Na Anioł Pański przebrzmiał dzwon,
latarnie lśnią jaskrawo.

Ostatnie już z mosiężnych ech
zginęło w chmur całunie —
na placu Marka gwar i śmiech,
pstry kobiet rój się sunie.

Ile tam pragnień, ile żądź,
ile tam ognia płonie:

namiętność rzeką płynie, rwąc
ten cały tłum w swe tonie.

Jak się tam w żyłach skłębia krew,
jaki kurcz usta chwyta,
jak palce drżą, ściąga się brew,
piers dyszy półodkryta...

Jak tam omdlale chwieją się
w biodrach kibicie gibkie;
jak błyskawica złota mknie
z oczu spojrzenie szybkie...

Vogue la galère! Dalej w tłum!
Hej, gondolierze, żwawiej!
Tu wichru jęk i morza szum,
na placu tłum się bawi.

Tu łkanie fal i wichru jęk,
mrok głucho leży ławą:
na placu śmiech i gwar i dźwięk,
latarnie lśnią jaskrawo.

Vogue la galère!...

W wędrówce.

Dopóki miałem gdzieś dom oznaczony
a kędyś w obcą zaleciałem dal:
daleko było mi do mojej strony,
było mi tęskno i było mi żal — —
lecz dziś, gdy nigdzie niema mego domu,
równie mi pusto wśród świata ogromu.

Pókim się ludził, że jestem kochany,
że czyjąś pamięć wszędzie z sobą mam:
choćbym był zabiegł gdzieś za oceany,
lub w step niezmierny, nie czułbym się sam — —
lecz dziś, po chwili zgasłej bezpowrotnie,
wszędzie mi równie pusto i samotnie...

Przez turnie, pustki...

Przez turnie, pustki wiatr ściga mgły,
ściga niechwytne nad wodną toń — —
o serce ludzkie, ścigaj swe sny,
przez turnie, pustki je goń.

Ścigaj niechwytne twoje sny-mgły,
aż cię ból zdejmie i żal i gniew,
goń je, aż z ciebie wytrysną łzy,
wytrysną łzy, wytryśnie krew...

Pod martwą skałą...

Pod martwą skałą więdną górskie kwiaty,
zwarzył je mróz,
burzą strącony i zniesiony deszczem
przysypał gruz.

Więdną i próżno patrzą się ku słońcu
z pod martwych skał —
i po co na tę śmierć nieuchronioną
wiatr tam je siał?...

Gdzie jest...

»Gdzie jest twój sen? Gdzie jest twój sen?«
spytało wielkie morze;
góry spytały gdzie jest mój sen,
i szum mnie spytał w borze.

Słońce mnie pyta: »Gdzie jest twój sen,
sen, co był sercem w tobie?«
Gdzie jest mój sen? Gdzie jest mój sen?
Wraz z sercem mojem w grobie.

Ponure widmo...

Ponure widmo co nad wodne głębie
płyniesz w obłoków zawichrzonych kłębie,
niesione wichrem rozszalałym halnym,
straszne, że smreki drżą na brzegu skalnym:

mnie nie przerazisz... Gdyby wyszła ze mnie
mara mej duszy na te wodne ciemnie,
to przed jej smutkiem ty, górskie widziadło,
cofnęłobyś się i w turniach przepadło.

Poranne białe...

Poranne białe płyną mgły
pod Beskid modrosiny;
nad Granatami słońce się lśni
przez srebrne pajęczyny.

W kotlinie, nisko, schodzi cień
z ciemnych jezierek głuszy;
blady, jesienny powstaje dzień
i ranną rosą prószy.

Na hali deski pustych strzech
zdaleka lśnią do słońca;
dokoła trawa, kamień i mech,
pustka, jak grób, milcząca.

Z poza przełęczy lecą mgły,
z szumem się w górze mącą
i zapadają, jak ludzkie sny,
w przepaść, jak grób milczącą.

Daleko został...

Daleko został cały świat,
wiatr tylko po uboczy
nagiej, pożółkłej, po szarych mchach,
jęczące skrzydła włóczy.

Nie przyszła tutaj ze mną wraz
pamięć, ni myśl niczyja,
tylko tęsknota, co duszę rwie,
tęsknota, co zabija...

Zaszumił ciemny...

Zaszumił ciemny, głęboki las,
żałość się po nim niesie,
niezmierny smutek, ogromny ból
zaszumił w ciemnym lesie.

Czemuż, o lesie, konary twe
tak smutną pieśń zawiodły?
Czy piorun spalił, lub topór ściał
twe najpiękniejsze jodły?

We mgłach strumienie...

We mgłach strumienie szumią wód
po skale biegnąc ściętej;
we mgłach wieczorny opadł chłód
na sennych fal odmęty;

we mgłach żałobny pomrok z hal
i ciemnych zszedł krzesanic —
i we mgłach spływa żal, ach żal
bez dna, bez dna, bez granic...

W pustce.

Ciche leżą kamienie pod skał ciemnym mu-
[rem.
Noc — wśród żlebu się świeci wazki smug
[księżycy,
jak ogromna, steżała w locie błyskawica,
zamarznięta na skale w pustkowiu ponurem.

Cicho... W złomach jezioro czarne i zlodniałe;
taka głusza, że słychać szelest kropel z śniegu
sączących się w toń wodną po kamieniach
[z brzegu;
śnieg pokrył ciemnym płatem ochmurzoną
[skale.

Chmury się dotykają prawie mego czoła;
zimne, oślizgłe głązy ręce moje ziębią...
Nad jeziora lodową, przepaścistą głębią
zaskuchalem się w przestrzeń... Idźmy... » Nikt
[nie woła...«

Z Mori.

Pusto... Wzgórz ciche, faliste kontury
niebieskim łukiem malują się w mroku;
księżyc, jak łabędź płynie srebrnopióry
po morzu nieba. Gdzieś nisko, na stoku,
w głębi wąwozu, co wpół przeciął skałę,
tam, od północy: jedna gwiazda złota
zdaleka, w ciemni, lśni się i migota...
Powietrze pachnie... Kwiaty wybujale
na liście połysk księżycowy biorą
i rozłożyste ciemne cienie drzewne
mającząc w mroku, jak widma rozwiewne,
gdzieniegdzie świecą posrebrzaną korą.
Noc milczy — — zda się, serc usłyszę bicie,
serc choć najdalszych... Na ciemnym błękicie
owa mię gwiazda obraca ku sobie
z zarówno smutną, jak i nieodpartą
mocą kagańca na kochanki grobie — —
a jednak patrzeć na groby czy warto?...

Martwa puszcza.

Cichy i ciemny bór. Gdzieniegdzie rdzawy
mech się rozściela wśród pożółkłej trawy.
Głęboka, głucha, jednostajna puszcza,
w którą konarów sieć mocno splątana
promieni słońca przez gąszcz nie dopuszcza.
Jak okiem sięgnąć: drzewa, drzewa, drzewa,
w oddali jedna, czarna, zbita ściana.
Nigdzie wiewiórka nie kłąśnie schowana,
bąk nie zabrzączy, ni ptak nie zaśpiewa,
ani gdzieś łanie idąc ku strumieniom
zachodzą z boku rogatym jeleniom.
Martwo i niemo... Siwe głązy leżą
wśród pniów zbutwiałych, paproci i wrzosów.
Nigdy tu jasných nie widać niebiosów,
nigdzie się zorzą bór nie budzi świeżą,
Ta sama dawna ciemność bez granicy
odwiecznie tutaj spoczywa w spokoju;
żadne tu życie nie budzi zastoju —
martwo i niemo w puszczy jak w kostnicy.

Tylko się czasem mgły po drzewach włóczą,
 powiewne mary, ciche i złowieszcze;
 czasem pluszczące zaszeleszczą deszcze,
 albo huk gromu nagnanego tuczą
 pomiędzy drzewa rozlega się głucho;
 czasem konary gięte zawieruchą
 szumią szeroko, jak w przypływie morze,
 lub od wichrowej złamany nawały,
 z łoskotem pień się obali spróchniały —
 i burza przejdzie i znów cicho w borze.
 Nigdy tu nie brzmi śpiew lub flet pastuszy;
 nigdy dziewczyna nie zabiegnie z dzbankiem
 i piosnką ciemnej nie osrebrzy głuszy,
 lub pod konary nie wejdzie z kochankiem
 dłoni splątywać modrych kwiatów wiankiem
 i ust swych spajać z kochanka ustami,
 i śnić i życia w to kłaść, że są sami...
 Tu wieczna pustka, tu wieczne milczenie,
 tu, jako w piersiach, w których serce zmarło,
 cicho — — nie zbudzi go jęk, lub westchnie-
 [nie...

Ta puszcza jest już na wieki umarłą.

Ciemnosmreczyński Staw.

W kotlinie, wśród kamieni
 i pordzewiałych traw,
 w posepny blask się mieni
 ciemny i cichy staw.

Nad nim się piętrzą zwały
 nagich, skrzęsanych ścian,
 mech pnie się osiwiwały
 i kosodrzewu łąn.

Niezmierna martwa głusza
 zaległa skał tych kąć:
 przeciągła pieśń pastusza
 nigdy nie zabrzmiała ząć.

Czasem się wiatr w kotlinie.
 z skalnych przetacza wrót,
 po kosodrzewie płynie
 i mąci ciszę wód;

czasem się złom rozkrusza
od ryku wściekłych burz —
zresztą niezmierna głusza,
martwota pustych mórz.

Gdym się raz patrzył z góry,
błądząc po wierchach sam,
w kotliny głąb ponurej:
ujrzałem marę tam.

Z dłońmi załamaniem
u skalnych legła stóp
i kryła twarz ku ziemi,
smutna, jak śmierć i grób.

Nie wiem, czy w to bezdroże
upiory schodzą śnić?
Czy czyja dusza może
swój ból tu przyszła kryć?...

Z brzegu.

Do wody mętnej, wody szarej
upadły z brzegu moje oczy —
patrzę jak płynie po pustkowiu,
jak się powoli, głucho toczy,
jakby płynnego męt ołowiu...

W szuwały płynie i moczary,
w bór ciemny, w oddal, w otchłań świata...

Do wody mętnej, wody szarej,
co się zaledwo falą rusza:
upadła z brzegu moja dusza...

I zatopiła się w jej toni
szarej i mętnej, choć skrzydlata,
choć jej po kwietnej latać błoni
i srebrzyć skrzydła w jasnej rosie
i z jasnym wichrem iść w zawody — —

bo oczy moje przykuł do się
rozdzierający smutek wody...

Sonety.

I.

Sarkofag w ciemnym wykulem marmurze
i postawiłem w nim urnę z popiołem;
w tej urnie wiele, ah, wiele zamknąłem,
więcej, niż życie... Wkołom blade róże

obsadził wieńcem i bluszcze po murze
ciemno-zielone i smutne rozpiąłem — —
tam ze schylonem idę klękać czołem
i myśl w głębinę dni umarłych nurzę.

Co jest popiołem w sarkofagu owym,
było mi niegdyś żywym — — mnie się zdało,
że razem ze mną, z mojem życiem skona...

A oto moje pogrzebione ciało,
a oto dusza moja pogrzebiona
w tym sarkofagu leży marmurowym.

II.

O zimny marmur opieram mą głowę
i serce w urnę z popiołami kładę;
czuję, jak róże zwisły ku mnie blade
i słyszę smutne szemranie bluszczowe.

Godziny idą... Zda się, że brązowe
słysząc stąpanie czasu... Gwiazd gromadę
już noc rzuciła na strop i lewadę
dokoła w mroki skryła księżycowe.

Jak dawno czoło o grobowiec wsparłem,
nie wiem — — gdym szedł tu, był dzień na
[błękanie...
Com czuł, com myślał, nie wiem — — śniłem
[może...

A może wyszło ze mnie moje życie
i tam, w to zimne, marmurowe łożo,
tam poszło leżeć w trumnie, z tem umarłem...

III.

Przy sarkofagu tego głuchej płycie
wiem, że na zawsze kiedyś pozostanę;
krew moja wsiąka w te głązy ciosane,
z krwią mą w sarkofag wsiąka moje życie.

Róże i bluszcze, co się tu krzewicie,
niegdyś mą ręką bolesną zasiane,
splęćcie nademną cienistą altanę,
abym nie widział słońca na błękicie,

ani księżycą na wieczornem niebie,
bo każde z światel tych zbudzić mię może
wspomnieniem chwili tryumfu przebrzmiałej..

One promienny mój tryumf widziały,
a jam nie wiedział wówczas, że go włożę
w urnę i w grobu marmurach pogrzebię.

IV.

Jestże to prawdą? Nie jestże złudzeniem?
Mogłoż znicestwić, co się zdało trwałem?
Tak w noc bezsenną, bezkresną pytałem
pod bluszczu smutkiem i róż zamyśleniem.

Ze zdruzgotanem na ustach imieniem,
z sercem od ciosu krwawem i omdlałem,
na pustce łąki w tę noc długo stałem
pod sarkofagu kamiennem milczeniem.

A wśród pustkowiec niezmiernych cmentarzy,
gdzieś zanurzony w półmroczne otchłanie,
jakbym sarkofag ten umyślnie stawiał

naprzeciw jego zadumanej twarzy:
daleki Sfinksa kształt mi się pojawił,
jako odpowiedź na moje pytanie...

VII.

O morza modre, o łąki w rozkwitach,
o lasy śpiewne pieśnią zadumaną,
kaskady, złotą bryzgające pianą
ku słońcu, co się płomieni na szczytach:

oto ma dusza w czarach i zachwytach
wśród was się miała czuć rozkołysaną
melodyą jakąś, dotąd jej nieznaną,
zrodzoną kędyś w kwiatach i błękitach...

Otoście miały być weselem dla niej,
ogrodem, pełnym woni i kolorów,
i tem smutniejsze jej dzisiaj jesteście...

Śmierć ku niej z morskiej wyziera otchłani,
śmierć się kołysze nad nią w szumie borów
i w kaskad grzmocie i w kwiatów szeleście...

Dziwna chwila.

Czas płynie... Nigdy więcej nie przyjdą ku
[sobie —
rozeszli się na zawsze, na zawsze rozstali,
żyją, jakby na innym każde żyło globie — —
czas płynie, czas, co z każdym dniem roz-
[dziela dalej...

Stracona chwila złudy... Już jak grobu płyta
powoli mchem zarasta i pleśnią zakwita:
tak owa chwila w pomrok wspomnienia się
[chowa
i zwolna ginie z oczu, jak płyta grobowa.

Rozstali się... Czy patrzą jeszcze kiedy w stronę
swojej dawnej przeszłości? Czy oczy zaćmione
mimowolnie mgłą żalu zwracają ku sobie,
żyjąc, jakby na innym każde żyło globie?...

Obcy są sobie do dna...

czas płynie, czas, co z każdym dniem roz-
dziela dalej —
są sobie obcy do dna.

Lecz czyż nigdy ona
nie uczuła nad sercem, jakby wzdłuż jej łona
płynęła ciepła, duża spadła łza deszczowa?
I nigdy nie słyszała w wieczornej godzinie,
kiedy dusza się Bogu, jako kwiat rozwinie,
cichego słów szelestu: bądź zdrowa! bądź
[zdrowa!
bądź szczęśliwa na wieki! bądź błogosła-
[wiona!?!..

Refleksya.

Tam, gdy pomyślę, że się spotkać mamy
wstąpiwszy w wiecznej Tajemnicy bramy,
my, cośmy w krótkiej wspólnej życia chwili
kochali siebie lub nienawidzili:
niczem mi zda się, prochem, wobec niemej
martwoty śmierci, wszystko, co czujemy.

Tam, jeśli spotkam pomiędzy smętnemi
marami, ludzi, których tu na ziemi
nienawidziłem niegdyś, lub kochałem:
czyliż ich sobie umarły przypomnę?
Uczucia owe będąż mi przytomne,
które wstrząsały mem żyjącem ciałem?

Tam chyba spokój jest wieczny... Więc gdy
[mię
ta myśl ogarnie, kiedy z tym orszakiem
widzę złączonych i siebie i ludzi,

włoczonych w chmury umarłych olbrzymie
na wieki wieków: wówczas mi się takim
niczem wydaje treść duszy człowieczej,
która się życiem oślepia i łudzi,
a której wszędzie i zawsze śmieć przeczy.

Z tą myślą wszystko przebaczyć tu mogę,
a razem żądać win mych niepamięci,
bo tam, w posępną śmierci idąc drogę,
cielesnym szałom i nędzom odjęci,
czyż nie będziemy, jak głuchy i niemy
mgieł poczet, co się przez górskie pustynie
przesuwa wolno i gdzieś w bezmiar płynie,
jeśli wogóle Tam jeszcze będziemy?...

VII

SONET Z »ANIOŁA ŚMIERCI«

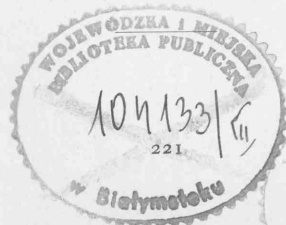
Wszystko więc przeszło, wszystko przeminęło
i nigdy, nigdy, nigdy nie powstanie;
wszystko w grobowe runęło otchłanie,
na wieki wieków, na wieczność runęło...

Milczące, ciche, straszne śmierci dzieło...
Niczemże szczęście? niczemże kochanie?
Niczem ból?!... Niczem!... W głuchym oceanie
ileż okrętów bez śladu zginęło...

Trzy siostry były, trzy siostry, jak Psyche,
przezyste, jasne, trwożliwe i ciche:
Wiara, Nadzieja, Miłość ich imiona...

Z tych dwie umarły, a trzecia nad niemi
w niemej boleści, z rękoma zwisłemi,
Miłość, stanęła jak słup odrętwiona.

id / c / w



SPIS RZECZY.

I. Wiersze różne.

	Str.
Rzeka mistyczna	3
Łąka mistyczna	5
Potok symboliczny	7
Wieczór majowy	10
Pierwotna przyroda	13
Mojżesz	14
Orzeł morski	16
Rusałki	19
Ogród Lezbijski	22
O sonecie	25
Wędrowcy	26
Szukają bóstwa	27
Wszchemocny Bóg	28
Próżno w swej duszy	29
Zbrodnie	30
Motyl	31
Hala	33
Z przełęczy »Mechy«	34
Pod Rysami	35
W Kościeliskach w nocy	37
Z Kasprowskiego wierchu	40
Dzwony św. Piotra w Rzymie	41
W kaplicy Sykstyńskiej	42

	Str.
Słońce	43
Capri	45
Na Capri	46
W Zatoce Neapolitańskiej	47
Pod Portici	48
Pod Herkulaneum	49
Apollo	52
Danae Tycyana	53
Virgini intactae	54
Dyskobol	55
Kallipigos	56
W Arkadyi	57
Wizya lipcowa	58
Ekstaza	59
Posąg Hermesa	60
Świątynie w Pestum	61
Hallucynacya	64
Symbol	65
Pragnienie	66
Mastodonty	67
Pierwotne zjawisko	68
Delfiny	69
Wąż	70
Nimfy	71
Widziadła okrętów	72
Pusty okręt	73
Pusta wyspa	74
Z nad morza	75
Cisza morska	77
Rozbitki	79
Wiecznie samotni	80
Zmartwychwstały	82
Anioł Pański	84
XIX wiekowi	88

	Str.
Z orlej wyżyny	90
Pochwała dawnej dzielności greckiej	93
Oda jowialna	96
Oda przestrożna	97
Ptaki	98

II. Dla rymu.

III. Album liryczne.

Muszla	111
Złudzenie wodne	118
Morze	119
W Salernej Zatoce	126
Dziecinne westchnienie	121
Na Via Caracciolo	122
Pielgrzym	123
Mewy	124
Trącona struna	125
Na pamiątkę	126
Śpiąca królewna	128
Rycerz	130
Psyche	133
Grób poety	138
Złoty ptak	143
Nad morzem	146
Orzeł	148
Vogue la galère!	150
»Cogito, ergo sum«	152

IV. Gra słów.

V. Pour passer le temps oktawą.

VI. Fantazyja liryczna.

Pieśń wenecka	187
W wędrówce	190

	Str.
Przez turnie, pustki...	190
Pod martwą skałą...	192
Gdzie jest...	193
Ponure widmo	194
Poranne białe...	195
Daleko został...	196
Zaszumił ciemny...	197
We mgłach strumienie	198
W pustce	199
Z Mori	200
Martwa puszcza	201
Ciemnosmreczyński Staw	203
Z brzegu	205
Sonety	306
Dziwna chwila	213
Refleksya	217

VII. Sonet z »Anioła śmierci«.

821.162.1

Tetmajer

Poezije

T. 3

28831